

LUBLIN

30.IX.1963

Nr 18 (280)

ROK XXX

CENA 2 ZŁ

# KAMENIA

## DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

LUBLIN — BIAŁYSTOK — KIELCE — RZESZÓW

### DWA KOMINY

JERZY DOSTATNI

MŁODY inżynier, który podjął się roli przewodnika oprowadzając mnie po wielohektarowym terenie lubelskiej Fabryki Samochodów Ciężarowych, jest bardzo cierpliwy. Już chyba po raz dziesiąty poprawia mnie troskliwie: nie odlewnia, ale zespół wydziałów odlewni. Początkowo jest to dla mnie tylko gra słów, przystosowanych do papierowego schematu. Gdy już jako tako orientuję się w produkcji, okazuje się, że istotnie są dwie odlewnie dla dwóch rodzajów żeliwa, a obok nich wspólna rdzeniarnia. Cały zespół rozlokował się w dwóch olbrzymich halach. Przedziela je szeroki pas trawników, a łączy płatanina instalacji na ziemi, nad i pod ziemią.

Słowo „rdzeniarnia” nie należy do najpiękniejszych słów języka polskiego. Dla mnie brzmiało zawsze tak, jakby wymawiający je miał piasek w zębach. Teraz już wiem dlaczego. W teście bowiem rdzeniarni piasek, piękny, kwarcowy piasek, sprowadzany tysiącami wagonów aż z drugiego krańca Polski, stanowi podstawowy surowiec. Na pierwszy rzut oka hala rdzeniarni wygląda jak wielka, zmechanizowana piaskownica, w której dorobił bawia się w robienie i wypiekanie babek z piasku. Przeważnie pracują tu kobiety, wśród nich wiele matek. Ha — gdyby ich pociechy wiedziały, czym się tutaj zajmują mamy i jak bardzo wielu skomplikowanymi maszynami tę zabawę w piasku im się ułatwia! Te babki czyli rdzenie są konieczne do tego, aby przyszłe odlewy miały odpowiednią kształt, otwory, wklęsłości. Prawdziwe babki z piasku mogą być krzywe, nierówne. Tu ważny jest każdy milimetr. Inaczej późniejszy kiero-wca „Zuka”, „Warszawy” czy „Stara” stanie bezradny na polskiej szosie, w bułgarskich górach czy na pustynnych piaskach dalekiej Afryki. Najpierw owe rdzenie, a potem odlewy swoimi niezwykłymi kształtami przypominają starożytny wykopaliska, czasem jakież geometryczne bryły, niekiedy wyglądają jak abstrakcyjne rzeźby.

— Z tym cholernym piaskiem można się wścieknąć — grzmi na plenarnym posiedzeniu Konferencji Samorządu Robotniczego dyrektor administracyjno-handlowy. — Wszędzie go pełno, poczynając od bocznicy kolejowej. Ale wtedy jeszcze jest żółty, przynajmniej ładnie wygląda. Gdy spełni swoją rolę, zamienia się w tak zwany martwy piasek. Zabija każdą roślinę, zatrzuwa powietrze. Gdziekolwiek go wywieziemy — źle. Placimy kary, ale przecież nie fabrykujemy rakiet, aby go wysłać na Księżyc. Dlaczego go nie regenerujemy? Nawet policzyłem — zarobiliśmy w ciągu jednego roku 3,5 miliona złotych. Kolej mogłaby skierować do innych celów półtora tysiąca wagonów. No a kłopotów ile mniej...

Na sali kilkadziesiąt głów podniosło się z zainteresowaniem. No bo 3,5 mln złotych piechota nie chodzi, a jeżeli leży w piasku, to przecież warto je podnieść. Gdzieś w końcu zaszczała otwar-



XX-LECIE  
LUDOWEGO  
WOJSKA  
POLSKIEGO  
X.1913 — X.1963

24.VII.1941 r.  
wkroczenie  
I Dywizji W. P.  
do Lublina

## O SPOŁECZNY STOSUNEK DO SPOŁECZNEGO RUCHU

BOLESŁAW BARTOSZEWICZ

JESLI przyjedziemy dziś — no, dokąd? Do Lubartowa? Do Zielonej Góry? Do Olsztyna? — obojętne, dokąd, okaże się, że cokolwiek byśmy powiedzieli dobrego o rozwoju kulturalnym tych miast, będzie bezpośrednio lub przynajmniej pośrednio związane z działalnością społecznego ruchu kulturalnego. Czy to zacytuujemy przykład Towarzystwa Miłośników Łukowa, czy przypomniemy sobie Pomorsko-Kujawskie Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne, czy wreszcie sięgniemy do jeleniogórskiego Towarzystwa Klubów Robotniczych i Chłopskich, jedno nasunie się nam wspólne spostrzeżenie: wszystkie owe stowarzyszenia, wszystkie w ogóle tego typu grupy społeczne działające w Polsce, charakteryzują się pozytywną pracą, są aktywne i składają się z ludzi rozmiłowanych w swoich regionach. Nie o to chodzi, że praca społecznego ruchu kulturalnego w naszym kraju jest bez wątpienia pracą głęboką, pełną treści kulturalnych, że jest zawsze i wszędzie nacełowana we właściwym kierunku. Zdarza się również inaczej. Obok stowarzyszeń prowadzących działalność solidną, nawet naukową, takich jak olsztyńskie „Pojezierze” ze swoim ośrodkiem naukowo-badawczym im. Wojciecha Kętrzyńskiego i działalnością edytorską, są i takie towarzystwa, które zajmują się wyłącznie organizowaniem konkursów w rodzaju „Nasze miasto w kwiatkach”, choć na pewno w owych ukwieconych miasteczkach; stąd również inne sprawy, np. urządzać stałe odczyty, spotkania z tzw. ciekawymi ludźmi, których można by zaprosić z większych ośrodków itd. Tak,

można by i warto by. Ale nawet w tej sytuacji możemy na podstawie rozmów, badań, wizytacji stwierdzić, że społeczny ruch kulturalny — bez względu na to, jak ważną i poważną grupą zagadnień zajmują się poszczególne stowarzyszenia i jakie by jeszcze można postawić postulaty pod ich adresem — jest bezwarunkowo zjawiskiem pozytywnym, jest siedliskiem aktywistów z prawdziwego zdarzenia, kuźnią inicjatyw i pomysłów. W końcu stowarzyszenia ukwiecające swe miasta prowadzą również działalność ze wszech miar pozytywną i choć mogłyby robić jeszcze coś innego, obecny zakres ich zainteresowań wynika jednak z jakichś konkretnych potrzeb miejscowych. Widać nikt prócz członków stowarzyszeń kulturalnych nie pomyślał o kwiatkach dla niektórych miast. Nie pomyślał o tym, by owe miasta były barwne, jasne, pachnące.

Właśnie. Społeczny ruch kulturalny zrobił już wiele, by w naszym kraju, zwłaszcza zaś w tzw. Polsce powiatowej, było milej żyć. Zaczynało się — jak to zwykle w życiu bywa — od małych grup zapaleńców, dla których piękno i ranga kulturalna własnego regionu jest rzeczą cenną. Dziś społeczny ruch kulturalny liczy setki tysięcy czynnych uczestników. Stąd odczyty i dyskusje nie mające nic wspólnego z przysłowiową „nudną piłą”, stąd lokalne festyny, karnawały, powstawanie muzeów w małych, najmniejszych miasteczkach; stąd społeczne budowanie obiektów kulturalnych i wyprzedzanie państwowych planów w montowaniu precyzyjnej sieci telewizyjno-przekaznikowej, obejmującej już odległe wsie Warmii, Mazur, Białostoczczyzny.

Niepodobna dzisiaj — zastanawiając się nad drogą, którą przeszliśmy w upowszechnianiu kultury — zapomnieć o roli społecznego ruchu. Co więcej, łatwo dochodzimy do wniosku, że ruch ten ogarnął dosłownie całą Polskę i — ukształtowany się w najrozmaitszych postaciach — stał się podstawowym czynnikiem upowszechniania kultury w ogóle. Stał się podmiotem tego procesu.

Dla nikogo nie może ulegać najmniejszej wątpliwości, że zjawisko to jest owocem — dojrzałym, udanym owocem — naszej polityki kulturalnej ostatniego siedmioletnia. Świadczy o tym nado wymownie o tym, że decyzja w sprawie metod, form, wreszcie programów działalności kulturalno-masowej należy dziś w Polsce do samych odbiorców dóbr kulturalnych. Z czego bowiem, jeśli nie z tego właśnie, wynika respektowanie społecznych inicjatyw terenowych? Warto podkreślić ten fakt szczególnie teraz, po XIII Plenum Komitetu Centralnego PZPR, które odwołało się do inicjatywy ludzkiej, do aktywności najszerzej pojętego aktywu kulturalnego w kształtowaniu socjalistycznego modelu naszej działalności kulturalnej. Zwiększa to niewątpliwie odpowiedzialność społecznego ruchu kulturalnego, podnosi jego rangę jeszcze bardziej niż dotychczas. Ma to znaczenie psychologiczno-polityczne przede wszystkim, lecz ma również znaczenie organizacyjno-strukturalne, przypomina terenowym władzom konieczność popierania społecznego



# Ze zdwojoną energią

EDWARD NADULSKI

**D**LA województwa lubelskiego Rok Pracy Kulturalno-Oświatowej 1963/64 jak wiadomo ma szczególne znaczenie, stanowi on początek obchodów dwudziestej rocznicy powstania państwa ludowego, rocznicy PKWN.

Program działalności nakreślony dla naszego województwa uwzględnił w całej pełni wskazania, wynikłe z obrad XIII Plenum KC PZPR.

Sądząc, że przed omówieniem głównych kierunków działania w roku przyszłym trzeba podać krótkiej ocenie działalność placówek kulturalno-oświatowych prowadzoną w ubiegłym sezonie.

Miniony rok kulturalno-oświatowy realizowany na terenie naszego województwa obfitował w wiele doniosłych wydarzeń.

Do nich przede wszystkim zaliczyć należy poważy wzrost bazy kulturalno-oświatowej. Oddano bowiem do użytku wiele obiektów, w których znalazły pomieszczenia domy kultury, świetlice, kina, biblioteki i czytelnie, muzea. Wzmógł się znacznie społeczny ruch kulturalno-oświatowy.

W wielu wypadkach społeczny komitet budowy domu kultury czy świetlicy samorzutnie przekształcił się w komitet aktywizacji danego rejonu czy powiatu, jak to miało miejsce w Bychawie i w Bełżcach, których inicjatywa społeczna wsparta pomocą władz przyniosła duże efekty.

Szeroka aktywizacja społeczeństwa, pracowników i działaczy kulturalno-oświatowych przyniosła znaczny rozwój czytelnictwa, a zwłaszcza wzrost popytu na literaturę popularno-naukową różnych dziedzin wiedzy.

Na podkreślenie zasługuje praca kompleksowych ośrodków kulturalno-oświatowych. Za przykładem powiatów lubartowskiego i lukowskiego poszły inne. Dziś już hasło „Szkoła ośrodkami życia kulturalno-oświatowego” podjęte jest we wszystkich powiatach. W ubiegłym sezonie było już 327 takich ośrodków. Placówki kulturalno-oświatowe bardzo aktywnie włączyły się do obchodów związanych z 1000-leciem Państwa Polskiego. M. in. w Zamościu, Chełmie i Kraśniku zwołano uroczyste sesje poświęcone historii tych miast i powiatu i ich postępowych tradycji.

Odbyło się szereg uroczystości poświęconych pamięci działaczy ruchu rewolucyjnego, postępowych pisarzy, oraz związanych z upamiętnieniem miejsc straceń w okresie II wojny światowej — jak Majdanek, Krępiec, Okrów, Ostrów Lubelski, Janów Lubelski i wiele innych.

W związku z tymi uroczystościami urządzono szereg wystaw: „PPR w walce z okupantem na Lubelszczyźnie”, „Martyrologia i walka narodu polskiego w latach 1939—1945”, nadto zorganizowano okresowe wystawy zbiorowe i indywidualne. Zorganizowano również wystawę malarstwa i grafiki czterech województw oraz obzajdową wystawę współczesnych plastyków lubelskich. Wystawy, szczególnie o tematyce historycznej, miały duże wartości dydaktyczne i wychowawcze, przyczyniając się do kształtowania pojęć młodzieży o bieżących zagadnieniach. Dla młodzieży — pokolenia urodzonego już w wolnej Polsce, które nie przeżywało okropności wojny, okupacji, obozów, pacyfikacji — wystawy te były przekonującym dokumentem historii.

Przy kompleksowych ośrodkach k. o. szeroką akcją oświatową prowadziło TWP, tworząc przy nich uniwersytety powszechne bądź punkty odcytowe, których liczba w województwie lubelskim jest najwyższa w Polsce.

Szczególne znaczenie dla pogłębienia pracy kulturalnej miała współpraca podjęta z sąsiednimi województwami: białostockim, kieleckim i rzeszowskim.

Wielki nacisk położono na szkolenie kadr w placówkach k. o. Specjalną uwagę zwrócono na wzmocnienie działalności instrukcyjnej i informacyjno-bibliograficznej w bibliotekach oraz na zorganizowanie poradnictwa w zakresie amatorskiego ruchu artystycznego przez założenie poradni przy PDK, umacniając rolę Biblioteki Wojewódz-

kiej i Wojewódzkiego Domu Kultury jako placówek metodycznych.

Zaczynający się okres wymaga większego zaangażowania się naszych placówek, pracowników i działaczy we wprowadzenie w życie państwowego programu socjalizacji stosunków w naszym kraju, uwzględnienia w dużym zakresie programu oświatowego wśród młodzieży pozaszkolnej i dorosłych, zapoznania z wiedzą praktyczną, przygotowania do wykonywania zawodu.

Chodzi tu głównie o pomoc placówek we właściwym wypełnianiu zadań politycznych, kulturalnych i gospodarczych spoczywających na naszym społeczeństwie.

W swym programie pracy placówki kulturalno-oświatowe powinny uwzględnić w całej rozciągłości zadania poznawcze z zakresu tworzenia się i rozwoju państw obozu socjalistycznego, wielkich przeobrażeń społeczno-politycznych w świecie, budownictwa socjalistycznego, walki o postęp i pokój.

Obok tych ogólnych zadań realizowanych przez placówki kulturalno-oświatowe, na szczególną uwagę zasługują historyczne wydarzenia gospodarcze i polityczne, jakie dokonały się na Ziemi Lubelskiej.

Ziemia Lubelska słynie z wielkiego patriotyzmu, z dużej ofiarności w walce o postęp, o wyzwolenie narodowe i społeczne. Bohaterstwo żołnierzy i partyzantów walczących o wyzwolenie kraju, o władzę ludową, a następnie o jej umocnienie oraz przemiany społeczne, pobudzały całe społeczeństwo do ofiarnego działania.

Na Ziemi Lubelskiej działały Rady Delegatów Robotniczo-Chłopskich. Tu rozwijał się ruch postępowy, kierowany przez organizacje lewicowe (KPP i PPR oraz związki młodzieżowe z KZMP i Związkiem Walki Młodych na czele). W okresie ostatniej wojny Lubelszczyzna ponosiła wielkie ofiary.

Tereny te zostały najwcześniej wyzwolone, Lubelszczyzna była kolebką powstania władzy ludowej, na Ziemi Lubelskiej zostały ogłoszone pierwsze podstawowe dekrety: Manifest Lipcowy, dekret o reformie rolnej, o nacjonalizacji przemysłu. Dlatego też upamiętnienie tych wydarzeń powinno znaleźć się na pierwszym miejscu w programie działania placówek k. o. zwłaszcza w pracy kulturalno-oświatowej wśród młodzieży.

Opracowany przez Wydział Kultury program generalnie ujmuje te zadania. Realizować go będą nasze placówki i jednostki k. o., instytucje i organizacje współdziałające z władzami kultury. Realizować będzie całe społeczeństwo.

Zasadniczym celem, do którego w nadchodzącym roku dążyć będą organizatorzy, jest wzbogacenie treści ideowych, treści wychowawczych pracy oświatowo-kulturalnej, stosowanie nowoczesnych form oddziaływania i objęcie zasięgiem tej akcji głębokiej prowincji.

W dalszym ciągu dążyć będziemy do realizacji hasła: „Powiat samodzielnym ośrodkiem pracy k. o.”, schodząc stopniowo do najniższych ogniw terenowych.

Jest rzeczą jasną, że tworzenie gromadzkich ośrodków k. o. podnosi i rozwija wszechstronnie możliwości lepszego kierowania naszą gospodarką, przyczynia się więc do szybszego

# ZE WSPOMNIENI WOJSKOWYCH

Mówi ppłk dypl. Bolesław Bocheń

— Pyta pan jakie zdarzenie z czasów wojny utkwiło mi najsilniej w pamięci... To niełatwa sprawa. Czytelnik z pewnością spodziewa się historii efektownych, niezwykłych. Tymczasem żołnierz najczęściej pamięta rzeczy drobne, niewiele mówiące tym, którzy z racji nieobecności w danym czasie i w danych warunkach nie mogą umiejscowić tych wspominków w odpowiednim kontekście.

Na mnie największe wrażenie podczas pobytu na froncie wywarło nagłe pojawienie się w okopach generała Karola Świerczewskiego. Nie chodzi o samą dysproporcję rang przy osobistym zetknięciu się: mnie wówczas młodego podporucznika i jego — legendarnego dowódcę. Powód był zupełnie inny. Po prostu to, że do gromady niezbyt znających się na wojowaniu, zaszkokowanych nieustającym ogniem nieprzyjacielskim, młodych chłopców, jakimi byliśmy wówczas, przyszedł pogawędzić ktoś, kto potrafił w takiej sytuacji zachować spokój i opanowanie, potrafił nie bać się, albo może umiał opanować lęk przed śmiercią. Ten jego pozornie niefrasobliwy stosunek do sytuacji, w jakiej myśmy się znajdowali, działał więcej, niż plomienne przemówienia nawołujące do walki, do pogardy śmierci w obliczu wroga itp.

A poza tym? No na przykład: okopyaliśmy się nad Szprewą. Dni były piękne, spokojne, wojsko zapomniało już prawie, że na wojnie strzelają.

Rozłożyliśmy na ziemi „pałatki”, poździejmowaliśmy buty, wystawili do słońca piekące stopy. Diabliście marne wtedy buty nosiliśmy. Podeszwy z pasukudnej gumy, wierzchy i cholewy z brezentu. I uwierało to w nogi, i piekło na dodatek. Ci, którym nie w smak było nasze wojsko, nazwali te buciory złośliwie: „demokratki”. Ale nie o tym chciałem mówić... Więc leżałem sobie na tej „pałatce”, a obok mój dowódca, kapitan Uniszczek. Rosjanin. Stary wyga frontowy, człowiek, który, jak to się mówi, z niejednego pieca chleb jadł i w niejednym okopie w błocie, w chłodzie przeleżał. Naraz słyszę, da-

ją znać z punktu obserwacyjnego, że zauważono, jak Niemcy w zatolach cekaem. Niedobrze, powiada Uniszczek, mogą nam tu niepotrzebnie zakłócić ciszę. I do mnie: „Skończ się na punkt obserwacyjny, zorientuj się bliżej w sytuacji, a później zarządź to a to”. Podczołgałem się, bo już niebezpiecznie było chodzić wyprostowanym, położyłem się obok podoficera, którego tam zastałem, obserwując przez lornetkę nieprzyjaciela. Nagle „przebiegł” w pień drzewa, tuż za naszymi głowami. Oglądaliśmy się, w korze dziurka od pocisku. Przeleciał równo między głowami. Kilka centymetrów bardziej w lewo albo w prawo, a któryś z nas już by nie żył. Powód? Chwila nieuwagi! Siońce odbiło się w orzechach, u naszych czapek, niemiecki snajper zauważył błysk i kropnął w to miejsce. Nie zdążyliśmy się nawet przestraszyć.

gorzej było w kilka godzin potem, kiedy Niemcy uwziawszy się widocznie na nasz oddział, otworzyli ogień z „krów”. Wie pan pewno, to były takie miotacze min, jedni nazywali je krowami, inni „szafami”, bo odgłosy, które wydawały, przypominały ryki krowy albo zwielokrotnione skrzypienie otwieranej starej szafy. Mnie w każdym razie daleko było w tym momencie do zastanawiania się i porównywania, co bardziej przypomina ostrzeliwujący nas rodzaj broni. Za to do dzisiaj pamiętam doskonale słowa Uniszczki: „Niech ryczą. A ty się połóż, bracie, w jakim dołku i czekaj spokojnie. Poryczy, przestania. Dym się rozwieje, słońce znowu wyjdzie. Wygrzejemy się, nogi odpczną, liść będzie iść naprzód”.

Gdzie czyni niewzyski? Nie ma. Może mam panu życiorys podać? Jak tylko Lubelszczyzna została wyzwolona, zostałem zmobilizowany. Przed komisją poborową stawałem w Chełmie Lubelskim — pochodzę z okolic Chełma. Ponieważ kończyłem właśnie gimnazjum, wzięto mnie prosto do szkoły oficerskiej. Potem Rzeszów, gdzie stała jednostka, do której zostałem przydzielony, a z Rzeszowa przez całą Polskę, zawadzając o Czechosłowację, aż do Drezna. Tam zastał mnie koniec wojny.

Tak. Mam. Między innymi nasz Krzyż Walecznych i czeski Krzyż Walecznych.

Po wojnie? Praca pedagogiczna w Wyższej Szkole Oficerskiej, wreszcie studia w Akademii Sztabu Generalnego w Warszawie. Tyle.

Oczywiście. Na pewno było wiele przygód i może ciekawszych od tych, które tutaj przytoczyłem, które mi się nasunęły jako pierwsze. Pamiętam walki nad Nysą, przypominam sobie akcję, w której zginął słynny bohater Drugiej Armii, kapitan Betlej... Ale, cóż, żyjemy już dniem dzisiejszym i tak jest chyba najlepiej. I może dlatego właśnie przeżycia powoli nadciągają się w pamięć. Wreszcie, bądź co bądź od kilkunastu lat sprawą, która bardziej zaprząta nasze umysły niż wojna, jest pokój.

M. D.

## KRONIKA KULTURALNA

LUBLIN

**UROCZYSTOŚCI OTWARCIA SEZONU** kulturalno-oświatowego 1963/64 w województwie lubelskim, przewidziane w trzech miejscowościach: Dąbie, powiat Janowski, Ostrów, pow. lubartowski i Józefów, pow. opolski, odbyły się już w Dąbiu (15 bm.) i Ostrowie (22 bm.). W obu miejscowościach na uroczystościach z udziałem przedstawicieli władz partyjnych i państwowych omówiono dorobek danego regionu i zamierzenia na przyszłość. Kierownik Wydziału Kultury PWRN Edward Nadulski wreczył wyróżniającym się działaczom kulturalnym listy pochwalne i nagrody pieniężne.

**TEATR IM. OSTERWY** wznowił pracę już 15 sierpnia. Grają na zmianę „Wielkiego Bobbygo” i „Królów przedmieścia” (z tymi sztukami Teatr 12 października wyjedzie do Jugosławii). W najbliższym czasie zobaczymy „Grzech” Zeromskiego w reżyserii Janiny Orsy-Lukasiewicz, „Fizyków” Dürrenmatta reżyseruje Jerzy Ukleja, a „Piątą kolumnę” Hemingwaya Bohdan Poreba, znany reżyser filmowy. Próby tych sztuk już się odbywają.

**FILHARMONIA LUBELSKA** rozpoczęła nowy sezon koncertowy 6 września w swojej odremontowanej sali w gmachu teatru. W koncercie inauguracyjnym, z udziałem Orkiestry Filharmonii pod dyrekcją Andrzeja Cwojdzkiego oraz doskonałej pianistki radzieckiej Bełli Dawidowicz, laureatki

Międzynarodowego Konkursu Chopinowskiego, usłyszeliśmy „Leszka Białego” Elsnera, koncert fortepianowy E-moll Chopina oraz V Symfonię Czajkowskiego.

**7 WRZESNIA** premierą sztuki Grzegorza Franta „Kolorowe piosenki” w reżyserii Henryka Ryła rozpoczął nowy sezon Teatr Łalki i Aktora.

**W PANSTWOWEJ OPERETCE** miłośnicy lekcji muzy oglądają komedie „Dziękuję ci, Ewo”, reżyserowaną przez Stanisławę Stanisławską.

**NA EKRANY KIN** lubelskich weszło kilka nowych filmów polskich. Na obejrzenie zasługuje szczególnie „Pasażerka”, ostatni, niedokończony film Andrzeja Munka.

**W SALACH BWA** wystawiają swe prace Józef Abramowicz i Jarosław Olejnicki.

**DUZO PRZYJEMNOSCI** sprawili lublinianom goście: Orkiestra Symfoniczna z Rzeszowa pod dyrekcją Janusza Ambrosa, która koncertowała 13 września, oraz kielecki Teatrzyk Dziennikarzy i Aktorów z najnowszym programem pt. „Zamek na Szklanej Górze”.

BIAŁYSTOK

**PANSTWOWY TEATR IM. AL. WĘGIERKI** wystąpił, zgodnie z zapowiedzią, z premierą „Lekarza mimo woli” Moliere. Reżyser, Krystyna Meissner, zrobiła zabawne przedstawienie w konwencji dell'arte, w czym dopomógł jej: scenografia Teresy Pońskiej i aktorzy — Jaskowski, Waśkiewicz, Mażyński, Gałusiński, Jarzębska, Niemczuk, Karolak, Polomska, Dziemska, Laskowski, Marlen i Surmiak.

**PLASTYCY PRZYGOTOWUJĄ SIĘ** do jesiennej wystawy Białostockiego Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków. Oko-

ło trzydziestu autorów pokaże kilkadziesiąt prac najpierw w salach Muzeum następnie w warszawskiej galerii na MDM-ie. Pracownia Sztuk Plastycznych, organizator wystawy pt. „Zanim nastąpiło zwycięstwo” (temat — zbrodnie hitlerowskie i ruch partyzancki na Białostocczyźnie), ekspozycje ją w Olsztynie.

**WOJEWODZKI DOM KULTURY** w BIAŁYMSTOKU, przy współudziale lubelskiego WDK, zorganizował w Lublinie trzynasto-dniowe seminarium dla działaczy i pracowników kulturalnych Białostocczyzny. Program seminarium poświęcony był omówieniu wspaniałych zagadnień kulturalnych w świetle XIII Plenum KC PZPR oraz zapoznaniu się z działalnością bratniej placówki w Lublinie i na terenie województwa.

KIEŁCE

**OŚWIĄGNIĘCIA KIELECKIE** na polu budownictwa dróg i oświaty rolniczej w tym roku wolały zainteresowanie sąsiadów. Po raz pierwszy bodaj w dziejach parlamentu kielecki do Kielec wszyscy posłowie kieleccy, aby zbadać dokładnie metody wykonania posłów kieleckich i ustalić linie wytyczne do wykonania. Kraków może pomóc Kielec w organizacji wyższej uczelni. Kielec może chętnie dostarczać sąsiadom swoje nowoczesne owoce, warzywa i doświadczenie w dziedzinie uprawy umięjętego wykorzystywania energii ludzkiej. Po spotkaniu tym posłowie Kielec następnym. Co do nas proponujemy — jak zwykle: Kielec — Lublin — Białystok — Rzeszów. Miejsce obojętne, czas wraca. niania naszych posłów. Temat? Jak widać „NIEDZIELNY MAGAZYN” „SŁOWA I LUD” zaprosił na spotkanie przedstawicieli

(Dokończenie na str. 12)



## TAK ZWANA PROSTOTA

ANNA KAMIENSKA

...wiersz  
tak prosty jak podanie ręki  
(L. Staff)

**P**RZEDE wszystkim nigdzie nie powiedziane jest, że poeta musi być prosta. Dlaczego właśnie prosta, skoro treści, którymi się zajmuje, przeważnie nie są proste. Prosto mówi się w sklepie, w urzędzie (choć i tu istnieje swoisty barok urzędowej mowy). W poezji powinno być przeciwieństwo do dziwności i tajemnicy. Calkowicie otwarty i jednoznaczny wiersz bywa płaski i nieciekawym. Wszystko wyłożone łopatą na dłoń, a więc nie ma tu miejsca na poezję. Pewna tajemniczość jest dla poezji niezbędna, zawiera coś z jej odwiecznej magicznej siły. Wiersz faluje i zapowiada głębsze, ukryte znaczenia, dla których warto do niego wracać. Niektórzy rozróżniają prostotę i prostactwo. Prostota jako pozytywna oczywista kategoria estetyczna przeciwstawia się prostactwu będącemu rzekomo sztuką ulatwioną, kulturalnie niedorośli, banalną. Prostactwo jest to, co nie ukrywa, ponieważ nie ma nic do ukrywania.

Czy rozróżnienie to jest istotne? Przecież sztuka wewnętrznie pusta, jałowa, niewiele mająca do ofiarowania — rzadko udaje prostotę, która zasługiwałaby w tym wypadku na nazwę prostactwa. Częściej taka pusta poezja mizdrzy się i przystraja, jest przesadnie strojna, modna i wyszukana. Prostota wydaje się przy takiej mizdrzącej się poezji czymś orzeźwiająjącym i cennym w najwyższym stopniu.

Są krytycy, którzy niezmiennie, jeśli chcą pozytywnie potraktować poetę, stwierdzają, że po różnych perypetiach osiąga on oczekiwaną prostotę. Prostota? Ale jaka? Co to znaczy prostota? Prostota jako punkt wyjścia czy jako trudny cel i osiągnięcie? To bardzo ważne, co się rozumie pod słowem: prostota. Dlatego właśnie napisałam: „tak zwana prostota”. Jest to pojęcie tyleż szlachetne, co balamutne i spełniające niekiedy funkcję „bicia na połówki”. „Wiersz tak prosty jak podanie ręki” nie pisze się prosto i zawsze poprzedza go mozolny trud myśli i artystycznego wyrazu. Prostota w sztuce liczy się tylko jako punkt dojścia, jako osiągnięcie, nie jako zamiar. Historia literatury dostarcza nam wielu przykładów utworów wielkich, które bynajmniej nie są proste. Ani proste, ani łatwe, choć może z perspektywy już takimi się wydają. „Iliada” i „Odyseja” były tworem

wysokiej kultury dworskiej. Skamielnięte epitety i nazwania zjawisk przyrody — są już poetyckimi znakami pozostałymi po wiekach rozwoju żywej pieśni. Opisy wytwornych szat i miernie zdobionych przedmiotów bynajmniej nie pretendują do prostoty. Nie jest prosty precyzyjny Horacy ani bliższy naszemu odczuwaniu żywiołu poezji — Wergili. Dante jest wyrafinowany — nie prosty. Prostota Kochanowskiego? Jest sumą wielkiej erudycji, życiowej mądrości i przyjętego mądre dziedzictwa — polskiej ludowej pieśni. Nie można dośzukać się prostoty w „Sonetach krymskich” ani w fantastycznych peregrynacjach myśli „Beniowskiego”. Prostota Leśmiana? Majakowskiego? Chlebnikowa? Apollinaire'a? Im więcej nagromadzimy przykładów literackich — tym bardziej mgliste i nieprecyzyjne wyda się nam pojęcie tzw. prostoty. Jest to raczej jedna z głębszych tajemnic poezji, jeden z jej rzadkich darów. Liryki lozańskie Mickiewicza są proste? Chyba tak. Ale w taki sposób, jakby prosty kształt wiersza ukrywał coś skłębionego, rozpaczonego i niezrozumiałego. Jakiś ciemny murt toczy się pod elegijnie rozpiętymi kładkami zdań, pod sielskimi obrazami przyrody. To są bardzo proste i bardzo trudne wiersze, niezrozumiałe dla dzieci, dla których jasny może być „Pan Tadeusz”. Te proste wiersze zrozumie tylko człowiek dojrzały, zamysławiający się nad życiem już jakby po drugiej jego stronie, wspominający mądrze i dojrzałe, znający cenę spokoju i rezygnacji. Ostrożnie więc z tą prostotą. Właśnie to, co proste, może się okazać najtrudniejsze, najbardziej skomplikowane.

I odwrotnie. Niedawno wyszła w celofanowej serii PIW poezja znakomitego Andrzeja Morsztyna, tego 17-wiecznego, trochę postponowanego zwykle przez szkołę, używanego jako przykład przesadnego baroku, stylizacyjnych wygibasów i poetyckiej przewrotności. Aby opisać po prostu białość ciała swej ukochanej — gromadzi najprzeróżniejsze biele i białości: mleko, śnieg, marmur i wreszcie wykrzykuje, że

„bielsza mojej panny pleć  
[twarzy i szyje,  
niż marmur, mleko, perły, labędz,  
[śnieg, lilje”.

Morsztyn jest barokowy, nie jest więc stylizacyjnie prosty. Właśnie unika prostoty jak ognia, gardzi nią, lubi argumenty wyszukane, efekty niezwy-

czajne, w świecie sarmackich opłotków wykazuje ciągoty do egzotyki. Również szczerze, prawda uczuć — są mu najzupełniej obojętne. Miłość jest dla niego poetycką konwencją, tematem, mitem podlegającym przetrwałym opracowaniom i naswietleniom, owocem kultury, a nie dziełem żywiołem. A jednak dziś pod historycznym stylem jakże prosy jest Morsztyn! Białe Kałki i Hanny, ich rubensowskie, hojne ciała, furtki i okienka, pod którymi ustawia się poezja w udanej, żartobliwej rozpaczy miłosnej, humor i smak życia przejawiający się nawet w przesadnym nagromadzeniu, w obfitości świata — wszystko to jest raczej bez tajemnic, proste, jędrne i zdrowe mimo wyszukanego barokowego stroju. Jakże więc jest z tą prostotą?

Najbardziej pouczającym przykładem poetyckiej prostoty wydaje mi się pieśń ludowa. Znamy ją poprzez polską pieśń i przykłady bardziej przypominające poetyckie trawestacje. Wreszcie, wreszcie tom po tomie ukazuje się reedycja Kolberga, ksiąg, które znaleźć się powinny na warsztacie każdego poety! Ostatnio coraz częściej spotykamy się z przekładami poezji ludów egzotycznych i „dzikich”, która też zalicza się do tego samego gatunku: pieśni ludowej.

Pieśń ludowa nie zawsze jest stylizacyjnie prosta. Ma i ona swoje konwencje, swoje skamieliny stylizacyjne, swoje dookólne obchodzenie rzeczy, nazywanie i nie nazywanie, napomknienia, aluzje i przemilczenia. Pieśń ludowa rzadko mówi wprost: kocham, cieszę się, smucę się. I tu jest przyjęta poetycka zasada uwiarygodnienia uczuć poprzez opisanie lub poprzez poetycki znak. Takim znakiem bywa zwierzę, ptak, woda, drzewo, istoty, które podejmują się przekazania stanowczy uczuciowych człowieka i swojej konkretnością, prawdą, swoim istnieniem udowadniają prawdę ludzkich uczuć, potwierdzają ją i popierają.

Nie jest więc to mówienie wprost, nie jest to stylizacyjna prostota. Prostota natomiast tkwi w samej postawie ludowego twórcy, anonimowego pieśniarza, ludowego poety. Powiedziałabym, że ta prostota jest afirmacją, aprobatą życia. Zawsze chodzi tu o sprawy powszechne: miłość, cierpienie, rozstanie, śmierć. To samo jest i w pieśni żartobliwej. I tu, i tam mądre godzenie się na życie, zaufanie do losu, nawet najtrudniejszego. W pieśni ludowej, nawet tej mówiącej o rozpaczy, brzmia dla mnie zawsze nuta potakująca, mówiąca jakby: to jest tak, tak być musi, takie jest życie. Tę właśnie nutę potakującą słyszę też w lirykach lozańskich Mickiewicza, tak przecież dalekich od ludowości. Słyszę ją też w muzyce Szopena. Czasem utożsamia się ją z mądrością, czasem nazywa właśnie prostotą. To jest mądra konieczność i ludzka prawda ponad i poza różnorodnością i komplikacją wszelakich stylów.

Lektura tych wspomnień nasuwa jednak całkiem aktualne pytanie: czy w ogóle poeta w naszej dobie może utrzymać się z pisania wierszy? Przy całej różnicy warunków społecznych, kulturalnych i politycznych na pytanie to i dzisiaj można odpowiedzieć przecząco. Z tą przecież zasadniczą różnicą, że młody człowiek, jeśli nawet czuje powołanie twórcze, ma możliwość ukończenia studiów, nie jest skazany na stałe bezrobocie, korzysta z wielu nie znanych w okresie dwudziestolecia form opieki i pomocy. Zapewne w wielu wypadkach może jeszcze niedostatecznej, ale w jakiejś dalekiej stopniu korzystniejszej od tego, na co w swej młodości mogli liczyć tacy poeci jak Pięta, Ciesielski, Michalski, Domański i inni.

I jeśli twierdzimy, że z wydawania tomików poezji żyć i dzisiaj byłoby trudno, chcemy jednocześnie podkreślić fakt, że nie można przyjąć bez sprzeciwu poglądu, iż pisarza czy poetę hańbi uprawianie tego czy innego zawodu zarobkowego. Niedawno młodemu poecie z Warszawy proponowano stałą pensję i mieszkanie przy jednym z dużych zakładów pracy, aby w zamian napisał o życiu i pracy ludzi pracujących w tym zakładzie. Odmówił. Nie licowało to — jego zdaniem — z godnością poety. Nie trzeba powoływać się na znane w historii literatury wypadki świadczące o tym, że poeta zatrudniony w zawodzie dalekim od poetyckich natchnień, pozostawiał po sobie wielki i cenny dorobek twórczy.

Czasy dwudziestolecia międzywojennego i nasza rzeczywistość współczes-

KULISY  
PEWNEJ ANIMOZJIKAZIMIERZ ANDRZEJ  
JAWORSKI

„Rozkoszuję się życzliwymi bajdurkami podawanymi w prasie jako recenzje z mego tomu” (mowa o zbiorze „nie więcej”, K. A. J.) — pisał do mnie Czechowicz w liście z dn. 6.III.1936. „Przy okazji dziwię się, że ani zawodowo krytycy, ani poeci nie mogą dojść do sedna rzeczy, nie rozumieją, iż mają ambicją twórczą nie jest pisać wiersze w lafcuchach: Zytomirski — Tuwim (obojętnie czy gorzej od Zytomirskiego a lepiej od Tuwima i na odwrót). Chodzi mi o to, że jestem poza tym rzedem, wędrując po drodze ku poezji transcendentalnej, podczas gdy tamci, gorzej czy lepiej robią poezję immanentną. Ale zdaje mi się, nie doczekam się za życia tego właśnie sformułowania krytycznego, choć gwiazdy wróżą mi 80 lat pobytu na naszej dziwnej „gwieździe”...

Jak cytuje Wiesław Szymański w „Balladach przed burzą” (str. 173), Czechowicz na miesiąc przedtem w liście do Stanisława Piętaka z dn. 6.II.1936 wyraził się o „Kamieniu” i o mnie w ten sposób: „A na „Kamień” gwizdę. Jak się okazuje, Kaj nie ma krztyny taktu, co się wyraźnie okazało w sprawie z Zawodzińskim”. Jak ten mój brak „taktu” wyglądał i o Czechowiczowi chodziło, należy tu wyjaśnić. Ale to dłuższa historia.

W n-rze 4/5 „Okolicy Poetów” z r. 1935 w rubryce „Wymiana poglądów” zabrał m. in. głos Czechowicz, który na pytanie: „czy krytyka poetycka odpowiednio spełnia swoje zadania i czego poeta żąda od krytyki” — wypowiedział się bardzo ostro, atakując niedwuznacznie, choć nie wymieniając nazwiska, K. W. Zawodzińskiego, krytyka i recenzenta poetyckiego „Wiadomości Literackich”. Oto jak brzmiał ten fragment:

„...Krytykę polską oskarżam, oskarżam, oskarżam... Od krytyków należy wymagać bezstronności, odczuwania poezji (tego chyba brak im najwięcej), wreszcie szerokiego światopoglądu filozoficznego, opartego na studiach, nie zaś na poobiedniej lekturze popularyzatorskiej w rodzaju przemilgłego skądinąd J. Jeansa. Żądamy analizy, nie kądziela, towarzyszenia naszym wysiłkom, nie pouczania nas. Żądamy kryteriów, ale nie sztywnych jak drewno trumny — kryteriów, które dawałyby coś żywego w zestawieniu z tworam poetyckimi. Żądamy także uczciwości handlowej — jeżeli entuzjastyczna recenzja z tomu, popelnionego przez ważnego współpracownika jakiegoś tygodnika literackiego, jest w następstwie zaplana posadą stałego recenzenta w tymże tygodniku, to dlaczego ma o tym wiedzieć tylko 10 osób? Interes jest interesem. Kto będzie chciał czytać interesowne recenzje, weźmie do ręki produkty owego recenzenta. A kto będzie chciał czytać recenzje interesujące, weźmie się do lektury innych pism literackich. To takie proste”.

Ale casus, który na skutek tej wypowiedzi Czechowicza powstał, wcale nie był taki prosty. Przede wszystkim skąd

(Dokończenie na str. 5)

**W**NIWIELKIM od siebie odstepie czasu ukazały się trzy książki, poświęcone wspomnieniom o życiu środowiska literackiego w latach międzywojennych. Chociaż obserwacje w szczegółach różnią się między sobą, chociaż dotyczą nie zawsze tych samych ludzi i nie zawsze oceny autorów zgodne są, jeśli idzie o twórczość określonych poetów, to przecież wspólną cechą tych wspomnień jest ogólny klimat owych czasów, prawda o warunkach społecznych, w jakich przypadło żyć i tworzyć młodym artystom, czy to zbliżonym do awangardy krakowskiej, czy do kręgu Czechowicza. Przy lekturze tych książek jeszcze raz okazuje się, jak ważnym ogniwem dla każdego historycznego okresu jest bezpośrednio odnotowany obraz zdarzeń i ludzi.

Gdyby młode pokolenie czytelników miało zdobywać swoją wiedzę o literaturze przeszłości jedynie z uczonych, podręcznikowych relacji, okazałoby się, że w wielu wypadkach sama twórczość dawnych autorów stałaby się dla nich niejasna i tajemnicza. Dopiero bowiem konkretne sytuacje, przypomniane okoliczności, osobiste wypowiedzi, spory i kłopoty odnalezione na kartach wspomnień, wprowadzają jasność w rozumieniu i odczuciu puścizny artystycznej.

W trzech wspomnianych książkach jeden jest rys wspólny: świadectwo gorzkiej egzystencji, dojmującej nędzy, borykania się każdego niemal dnia z przeciwnościami losu, skazujących młodych poetów na beznadziejną wegetację, pogoń za groszem, zapewniającym chociażby jeden znośny

obiad czy kolację. Zarówno Kurek, Mrozowski czy Pięta dalecy są od koloryzowania „bohemy” międzywojennej. Pokazują ludzi żywych, ludzi cierpiących, ludzi wbrew wszystkim i wszystkiemu — oddanych pracy twórczej. Czasami można by nawet odczuwać jakąś odrazę wobec monotoni zewnętrznych objawów tego ży-

CYGAŃSKIE  
ŻYCIĘ

JERZY GEMBICKI

cia: ciągle pijaństwa, programowa beczynność, organizowanie sobie życia przy pomocy nieoddawanych pożyczek itp. Nie bądnym jednak zbyt surowymi sędziami wobec tych młodych poetów i pisarzy, którzy przecież nie wyłącznie ze swojej winy zapewniali „wspólne pokoje” i podejmowali próby samobójcze wobec beżyściowej sytuacji stworzonej przez warunki społeczne tamtych lat. Paria si inteligencji nigdzie w większości nie znajdowali nigdzie oparcia i pomocy. Regularna pensja Czechowicza w Związku Nauczycielstwa Polskiego — to odosobniony i rzadki wypadek.

na wpisane są w całkiem różne obszary cywilizacyjne i ustrojowe. Stąd coraz mniej cech „cyganerii” charakterystycznych dla epoki Murgera pasuje do ludzi parających się piórem, czy to w dziedzinie prozy czy poezji. Stąd może — mówiąc łagodnie — anarchicznie wygląda także to, co do miera do opinii publicznej na temat stylu życia niektórych naszych debutantów literackich. I na pewno — jeśli ze współczuciem czytamy wspomnienia o życiu artystów z dawnych czasów, buntujemy się trochę przeciw kopiowaniu tego stylu w jego najsmutniejszych przejawach twórczych nie przez konieczności życiowe, ale przez złudzenie, że niesie on zbawienne natchnienie, wyróżnienie z szarego tłumu i pogłębione widzenie świata.

Jest to niestety jeszcze jeden niepotrzebny mit.

\*) Wacław Mrozowski — „Cyganeria”, Jalu Kurek — „Mój Kraków”, Stanisław Pięta — „Portrety i zapiski”.



ICH  
POEZJA  
NARO-  
DZIŁA  
SIĘ  
W  
CHEŁ-  
MIE

JAN SZCZAWIEJ

## Miłość tworząca

Jest miłość, która serce jak czarną glebę orze  
Rozpaczy nie milknącej stalowym, ostrym nożem.

I ciche skiby bólu kromkami chleba kładzie  
Na dwa zagony życia: na każdą noc i na dzień.

Jesienią z młecznych szlaków i ciężkich smutkiem  
planet

Tajemne strząsa ziarna na łany poorane.

Wełnistą potem chmurą zastania niebo drzewom  
I pol suchą rolę ukrytych lez ulewą.

Aż wiosną, gdy na niebie zawisnie krąg ognisty,  
Z zoranej gleby serca pszeniczny łan wytryska.

I roślinie, roślinie w słońcu, przybiera barwy nowe,  
Zakwita wreszcie bujnie, szumłącym, chlebnym  
słowem.

ZDZISŁAW POPOWSKI

## Południe

Kolys wiatru na murze różowym,  
w złotej śleci słoneczny płak.  
Chmury wsparte o lasu poręcz,  
las przepływa horyzont wplaw.

Na wybrzeżu potłuczone lustra,  
w sieni wodzie promienisty mlecz,  
a w słońcu ryby myją łuski,  
kryształowe ryby w szarym dnie.

W rzecie płuczą dziewczyny kolana,  
dwie lodgy opalonych ud.  
Białą pianą, zieloną pianą,  
spływa ciałem lustrzany chłód.

Kwila ptaki kropilistym wyznaniem  
pełne dźwięków: okrągłych nut.  
Szlakiem wonnym przechodzi anioł,  
chłodząc różdżką roślinny płód.

W wodzie miledzą słoneczne organy,  
organami szeleści las.  
Kryształowe nad lasem dzbany  
melodyjny unoszą blask.

Las się w dzbanach myje zielenią,  
chrząszczą w cieniu akordy pni.  
Nad rozlaną jak rzeka ziemią  
niesie wiosna złote tarcze dni.

LONGIN JAN OKOŃ

W opończy Joruna  
haftowanej dzwonekami rymów  
stałem na chwiejnej iglicy wiatrów  
wokół

krzyżały boże modlitwy  
krążkami wytartych słów  
głosily nieznana wielkość

Rozdarłem płaszcz Joruna  
szukam  
okwitych uśmiechem dróg  
pełną czerwone latarnie życia

Sumieniem wolnym  
twardym jak skała  
strzaskalem chwiejną iglicę wiatrów.

KAZIMIERZ EUGENIUSZ  
STESZUK

## Kształt liścia

Pańcąc przez okno  
widzę jak topole na palcach  
wspinają się ku nieba granatowej  
[muszli]

dzielił przygwożdżony do suchego  
[pnia]

wyluskuje smaczne  
białe zatrząskali robaczków

srebrne miecze słońca  
prują brunatny dywan liści  
zawieszony na pajęczej siatce dnia

otwieram szklane wieko okna  
cichym szelestem firanki  
na plastrze szyby  
rysuje się barwnym szablonem  
kształt liścia

MAREK ADAM  
JAWORSKI

## Witaj Księżycu!

Trudno pocie znaleźć słowa  
i trudno dobrać do nich rymy,  
kiedy rakietą księżycowa  
zwyceńsko kończy lot olbrzymi.

Witaj, Księżycu, w nowej erze!  
Ziemia podaje rękę ciepłą.  
Spokoju ci nie zmać, wierzę,  
bomb atomowych piękło.

Otwarty przed ludzkością kosmos,  
rozum człowieka drogę wskaże,  
Trzynasty września stał się wiosną,  
radosną wiosną naszych marzeń.

WŁADYSŁAW KUCHTA

## Kwitną sady

Sady jak buklety  
Zdoblą mą włoskę.  
Chaty w zieleni  
Stare od troski.

Kasztan nad drogą  
Karmi ród pszczoł  
Jak panna młoda  
Kwieciem się biele.

Łąka zielona,  
W kwiaty się stroi,  
Rozkwitła jabłoń  
Pod oknem moim.

KRZYSZTOF  
WOJTOWICZ

**Z POSTĘPOWYCH  
TRADYCJI  
BIAŁOSTOCCZYNY**

Dobrez chyba stało się, że właśnie  
w Roku Ziemi Białostockiej, będą-  
cym jednocześnie rokiem setnej rocz-  
nicy powstania styczniowego, ukazała się  
niedawno praca białostockich historyków  
Zygmunta Kosztyla i Ryszarda Kraski po-  
święcona wydarzeniom, których świad-  
kiem sto lat temu były tereny dzisiejszego  
województwa białostockiego. O charak-  
terze opracowania informuje na początku  
we wstępie wydawca — Wojewódzki Kom-  
itet Frontu Jedności Narodu w Białym-  
stoku:

„Historia powstańca styczniowego na te-  
renie naszego województwa nie doczekała  
się dotąd jakiegoś szerszego opracowa-  
nia monograficznego. Nie jest nim i niniejsza  
praca, która polecamy czytelnikom. Sta-  
nowi ona szkic najbardziej istotnych wy-  
darzeń rozgrywających się w burzliwych  
latach 1831—1861 na ziemiach, które wcho-  
dzą obecnie w skład naszego wojewódz-  
twa i zrozumiemy, że nie wyczerpuje ca-  
łości zagadnienia.”

Autorzy z wyceńsko wyszli ze zmagają z  
ogromem materiału. Nie porzucając się na  
chronologiczne kronikarskie relacje, ogra-  
niczyli się do zagadnień węzłowych, opra-  
cowując je w sposób ciekawy i przystęp-  
ny, w pełni popularno-naukowy.

Warto chyba przypomnieć dzisiaj czy-

KAZIMIERZ ANDRZEJ  
JAWORSKI

Fajr, ciskam serce swe do góry,  
zawisło w niebie drżącym płaszkciem.  
Widzisz jak mały, rdzawopióry  
obłoki ścigać chce nieważkie.

I w nierozsądnej tej pogoni  
gubiąc się w chmurce siwym dymie  
jak nieprzytomny, dzwoni, dzwoni  
i wciąż powtarza twoje imię.

Wstuchana w ten uparty dzwonek,  
zapamiętały w swoim śpiewie,  
szepesz mi cicho; to skowronek,  
a ja: to serce moje, nie wiesz?

CZESŁAW TWARDZIK

## Piąta C mol

Na klawiaturze twoje palce,  
Tlum wołający gna krawędzią,  
burzliwą nocą pękają akordy.  
Forte.

Syrena wyje na okręcie,  
lęk zachichotał dysonansem,  
okno przekreślił nietoperza cień.  
Forte.

Dziewczyna z jękiem w otchłań pędzi,  
w płonącym domu trzepocze się ptak,  
syk węża przerwał śpiew łabędzi,  
matka za dzieckiem skacze w ton,  
gdzieś czyjeś ręce skraca ból,  
kłątwa bulgoce w krtani,  
szalencie w lono sztylet dęga.  
I tak dalej i dalej  
rozpaczą bez dna  
wyklęca się z Bogiem najświętszy  
poganin.

A pośród pół  
kona paż królowej  
plano pianissimo.  
Lecz co to?  
Ktoś w drzwi kolacze,  
w drzwi wali ktoś  
gwałtownie nocą.  
Jak uparcie, jak groźnie, jak mocno.  
Boże, kto to?  
Może to los,  
może szczęście spóźnione,  
[omdlale od krzyku?

Może to ona?  
Ludwiku, wpuść, ogłuchły Ludwiku.  
„Zu spät”... Skonał.  
Za oknem hałaśliwie dzieci  
[rozsypany dzwonek  
na wyjącego psa.

Porwał struny bóg gniewny  
[granitowym wiatrem,  
wybuchł skargą nabrzmiały arsenał.  
Wielki wiekiem podadzą błękitną  
[fermate.  
Piątą C-mol, pęknięte serce  
[Beethovena.

tenikowi krajowemu, że przed stu laty,  
w okresie poprzedzającym wybuch  
powstania styczniowego, tereny dzisiejszego  
województwa białostockiego odegrały mia-  
ły niemalą rolę w przyszłych zbrojnych  
działaniach powstańczych. Inż. Bronisław  
Szwarc, zatrudniony jako kierownik rob-  
ót przy kolei warszawsko-petersburskiej,  
a jednocześnie jeden z najbardziej czyn-  
nych na Białostocczyźnie działaczy „czer-  
wonych” — w swoich wspomnieniach z  
tamtych lat, pisanych pod koniec ubieg-  
łego stulecia na blisko 40-letnim zesłaniu,  
tak o tym powiada:

„Podług planu Padlewskiego główny na-  
pór powstania był zamierzony na północ-  
ny-wschód, na płockie, łomżyńskie i Pod-  
lasie aż do Litwy. Przerzymano takim spo-  
sobem komunikację z Petersburgiem, je-  
dyną istniejącą wówczas koleją warszaw-  
sko-petersburską, miano użytkować naj-  
główniejsze siły organizacji warszawaków,  
Kurpiów i Podlasiaków. Białostocki ob-  
wód był dawno przeze mnie i Wróblew-  
skiego zorganizowany. Ów plan wypełniał  
się z początku dość pomyślnie. Opanowa-  
no kolej pomiędzy Bugiem a Narwią do  
Łap. Padlewski uderzył na Plock 22 stycz-  
nia, Rogiński zajął Białą 25, podlaskie Ru-  
sini powstałi masami, nastąpiły bitwy pod  
Wegrowem, 4 lutego pod Siemiatyczami,  
ważnego zwycięstwa na linii od Warszawy  
do Białegostoku przez cały luty i marzec.”

W oparciu o obfita bibliografię i ma-  
teriały głównie z archiwum lubelskiego  
(szczegółowy wykaz na str. 191—195) Zyg-  
munta Kosztyla podjął odany trud ukaza-  
nia działalności białostockiej organizacji  
„czerwonych” w okresie przygotowania  
do powstania. Rzecz napisana zwięzle,  
ogrom materiału informacyjnego zreduk-  
owany do niezbędnych granic. Czytelnik  
otrzymuje nie tylko plastyczny obraz wy-  
darzeń, ale i socjologiczno-społeczne uza-  
sadnienie podłoża rozwoju późniejszych re-  
wolucyjnych wydarzeń na Podlasiu, Augu-  
stowoczyźnie, Białorusi i Litwie. Pióra  
Zygmunta Kosztyla są następujące dwie  
początek: „Walery Wróblewski i jego  
udział w powstaniu styczniowym” oraz  
„Ponoc medycyna sanitarna w oddziałach  
powstańczych na Podlasiu w okresie  
powstania”.

Skie o Wróblewskim ma charakter  
wybitnie popularny. Autor, niestety, ogra-  
niczył się do kompilacji materiałów bi-  
bliograficznych ukazując działalność Wró-  
blewskiego i to głównie jako powstańca  
dowodzą. Podał ukazania społecznej  
działalności przedpowstańczej później-  
szego „generała Komuny” nie został speł-  
niony w takim zakresie, w jakim można  
było oczekiwać. Kosztyla nie wyszedł po-  
za minimum informacji podawanych przez

WACŁAW MROZOWSKI

## Przez okno

Wichura dmie. Przy oknie siedział.  
W żalobie cała, A za oknem tuż  
długie kolumny białych polarnych  
[nieświadzi —  
syple płatkami śnieżnych, ognistych  
[trój  
na tekturowych żołnierzy we mgle,  
na okno, włosy, gdzieś...

Wichura dmie. Zmierzech  
nietoperzem skrzydłem bje w sryby,  
nieświadzi lód już pokrył — wiec,  
w stawie usnęły ryby.

Stygiesz w żalobie. Mgły  
wloką się dalej — dalej żołnierze  
tekturowi i nieświadzi. I ty,  
wszyscy we mgłach jak krzyże —

Przechodzą wszyscy. Zostajesz  
sama przy oknie. Wicher z tobą  
to samo nuci —  
wstajesz,  
odchodzisz razem z żalobą —

Nie wróci.

IGNACY IGON  
GAŚSIOROWSKI

## Wczasy

Spadł ślubny pierścień godzin  
i w jasne gór ustronie  
ze słońcem jadę co dzień  
na lotnym chmury koniu.

Tu leśny chłód potoku,  
udojem pachnie hala;  
pogwar kolatek wokół  
to zbliża, to oddala

myśl o dalekim mieście,  
gdzie z wleży ratuszowej  
podzwania godzin pierścień  
serdecznym rytmem słowa.

autorów bardziej lub mniej źródłowych  
publikacji, jak Złotoryzka, czy Strum-  
Wojtkiewicz. Okres społecznej działalności  
Wróblewskiego w Sokółce czeka nadal na  
swojego odkrywcy. Mimo tych braków  
Kosztyla opracował swój szkic poprawnie  
— starając się podać jak największą ilość  
faktów związanych z działalnością dowó-  
dzą powstającego pułkownika, dołączając  
do tego we własnym opracowaniu bardzo  
przejrzystą mapkę rejonu działania od-  
działów Wróblewskiego.

Na uznanie zastępuje trzecia porcja te-  
go autora — „O pomocy medycy-  
tarnej w oddziałach powstańczych”. O  
sprawach tych napisano w swoim czasie  
wcale nie tak mało, jak by się na papier  
wydawało. O działalności lekarzy, farm-  
aceutów i felcerów w powstaniu sport  
miejsca poświęca w swoich „Bitwach i  
potyczkach” Zieliński, a podstawowym  
poznawczym dziełem jest tutaj praca dr  
Franciszka Białokura „Materiały do histo-  
rii służby zdrowia w powstaniu styczni-  
owym”, wydana w 1932 roku. Istnieje rów-  
nież szereg rozproszonych suplementów.

Z trzech rozdziałów Ryszarda Kraski  
uczucie niedosytu pozostawia omówienie  
udziału Białorusinów, Rosjan i Litwinów  
w powstaniu na Białostocczyźnie. Autor  
zupełnie niepotrzebnie sam sobie tu na-  
rzuca styl telegraficzny, nie czyniąc prób  
autorowskiego komentarza. W opracowaniu  
zas „Pierwsze dni” stara się ogrom ma-  
teriału zmieścić na 10 stronach, co przy-  
czynia się do zbytecznego zagęszczenia li-  
formacji. Najlepiej chyba wyszłoby pła-  
ba ukazania przebiegu powstania w Augu-  
stowskim. Można by jednak mieć pre-  
tensje do autora, że zbyt często sięgał  
do gotowych opracowań, zbyt mało korzy-  
stał z materiałów archiwalnych w Białym-  
stoku i Suwałkach oraz z relacji żyjących  
najbliższych potomnych uczestników po-  
wstania. Być może, że to przekroczyłby  
autorskie zamiary Kraski, z drugiej je-  
nak strony podkreśliłoby element zwię-  
złażowania wydarzeń, zawarty zresztą w  
tytule.

Osobne słowa uznania należałoby się auto-  
rów za dobór reprodukcji zawartych w publi-  
kacji. Zamieszczenie tych najmniej nau-  
kowych dowodów między innymi dogłębnie  
przemyslenia całej publikacji przez auto-  
rów, którzy byli jednocześnie jej redak-  
torami.

Czytelnik zbyt wymagający mógłby mieć  
pod adresem autorów pretensje, że nie  
wzają o dziejach powstania na Białostoc-  
czyźnie, nie uwzględnił działalności Pad-  
lewskiego, roli Kurpiów w powstaniu  
styczniowym lub też zbyt mało powo-  
dził o Konstantym Kalinowskim. Jed-  
nak uniknięcie „wzrostu” jest chyba  
jedną z zalet tej książki.

Porcja została wydana w ilości 100  
słoneczek. Wskazujemy na to, że w  
realizacji zapotrzebowania wcześniej-  
dawcy złożonych, trudno będzie za-  
brać na półkach księgarń. A ponieważ za-  
kreślenie poruszanych problemów wybra-  
ło poza teren Białostocczyzny, treści-  
nie może być również czytelnika z in-  
nych regionów kraju. Całość — jak na-  
mieniam — jest opracowana przystęp-  
nie i ciekawie zarówno dla starszych jak i  
dla młodzieży pragnącej poznać  
w tradycje swego regionu; proponu-  
jemy zarezerwować od razu niezbędny ma-  
teriał na wznowienie nakładu. Warte

Zygmunt Kosztyla i Ryszard Kraska  
dziejów powstania styczniowego w Biał-  
ostocczyźnie”. Str. 198 stron. W  
Wydawnie Wschodu Przemysłowym KW 1932  
i Wojewódzkiego KFN — Białystok  
1982 r.



Szanowny Panie Redaktorze

Proszę Pana uprzejmie o zamieszczenie poniższego oświadczenia:

„W 50 numerze „Wiadomości Literackich”, pisma poświęconego także i literaturze, ukazał się artykuł odszczepiający mnie od czci i wiary, a podpisany przez zdolnego skądinąd kawalerzystę i krytyka, pana rotmistrza K. W. Zawodźńskiego. Nie będę się udawał w polemikę z panem rotmistrzem Zawodźńskim i nie mam też zamiaru pojedynkować się z nim, bo sądzę, iż każdy nieuprzedzony czytelnik, zaznajomiony się z treścią i formą jego napaści, przynajmniej, iż do podobnych enuncjacji, nie tyle kawalerskich, ile po prostu starokawalerskich można się ustosunkować tylko sztycherem.

Pan rotmistrz Zawodźński stara się pogrzebać mnie cywilnie w opinii publicznej. Ponieważ przypuszczam, iż będzie mu bardzo do twarzy w karawaniarskim „pierzochku”, ułatwię mu to zadanie.

Umrę cywilnie. Wycofam się z życia literackiego. Zastosuję bierny opór. Nie będę publikował swoich prac poetyckich ani też prozatorskich, ani artykułów, ani żadnej rzeczy, która moja jest.

Rad jestem, że moi nasi światła literackiego, serdeczni przyjaciele pana Zawodźńskiego, oszczędzą sobie fatygi i nie będą musieli mnie „tepić i likwidować”. Przez autoliquidację rozpocznę także nową erę w stosunkach literackich w Polsce, bo, o ile mi wiadomo,

nie było jeszcze u nas poety, by zastosował bierny opór...

Żeche Pan, Szanowny Panie Redaktorze, wybacz mi wzgardliwą i sztycherczą formę niniejszego oświadczenia, ale sam Pan rozumie, że te zarty, to tylko smutna w naszych warunkach konieczność.

Racz Pan przyjąć etc.

Józef Czechowicz

Ponieważ nr grudniowy (4) pisma był już złożony, pozostawało wolne miejsce tylko na okładce, a odłożenie tej deklaracji do zeszytu styczniowego mogłoby ją zdezaktualizować. Dla mnie złożyło się to o tyle szczęśliwie, że mogłem tłumaczyć się brakiem miejsca oświadczenie utrzymane w ironicznym i obraźliwym tonie skrócić, usuwając z niego passusy dolewające jeszcze oliwy do ognia. Poza tym stosunki moje z Zawodźńskim układały się jak najlepiej, do „Kameny” i mojej pracy przekładowej był usposobiony bardzo życzliwie, po cóż więc miałem angażować się po stronie Czechowicza, który pierwszy obrazil Zawodźńskiego. Prócz tego uważałem, że jego oświadczenie było nie tylko obraźliwe, ale i bardzo niepoważne. Z drugiej strony stosunki łączące mnie z Józefem były takie, że nie mogłem mu odmówić w ogóle zamieszczenia jego deklaracji. Stonowałem więc ją, usuwając wstęp i złośliwie powtarzający się wszędzie przed nazwiskiem Zawodźńskiego jego tytuł wojskowy. Oświadczenie zamieszczone w „Kamenie” brzmiało w ten sposób:

„W ostatniej chwili otrzymaliśmy list od Józefa Czechowicza z datą 11 grudnia 1935 r. z prośbą o ogłoszenie go na łamach „Kameny”. Z braku miejsca gdzie indziej, drukujemy tutaj najważniejszą część tego pisma, które pozostaje w związku z artykułem K. W. Zawodźńskiego zamieszczonym w 50 nr „Wiadomości Literackich”, a odszczepiającym Czechowicza, jak ten pisze, „od czci i wiary”. Oświadczywszy z początku, że nie będę się udawał w polemikę, ani pojedynkował z K. W. Zawodźńskim, gdyż „każdy nieuprzedzony czytelnik, zaznajomiony się z treścią i formą jego napaści przynajmniej, iż do podobnych enuncjacji można się ustosunkować tylko sztycherem”, Czechowicz oświadcza: (tu przytoczyłem in extenso dalszy ciąg deklaracji od zdania: „Pan Zawodźński stara się pogrzebać mnie cywilnie w opinii publicznej”).

Postanowienie to zamknętem słowami: Ze swej strony nie wchodząc w meritum sprawy, uważamy, iż decyzji Czechowicza, powziętej, jak zresztą wiadać ze stylu oświadczenia, „na gorąco”, nie należy brać poważnie. Nie sądzimy,

# ODWIEDZINY u Romana Turka

ZBIGNIEW WAWSZCZAK

W DUŻEJ izbie, z portretem słubnym i obrazami świętymi na ścianach, przyjmuje mnie gospodarz, starszy, niewysoki mężczyzna o pobrudzonej twarzy, na której często gości wesoły uśmiech. Na stole otwarta książka, widocznie przed chwilą była przedmiotem lektury. Korzystam z tego, by zapytać pana Turka o ulubionych pisarzy.

— Na przestrzeni całego życia to byli różni, bo w miarę jak uciekały lata, przychodziły inne zainteresowania, inne przyjemności. Ostatnio — Jan Lam, Zygmunt Miłkowski (Teodor Tomasz Jeź), a teraz czytam Zegadłowicza. Wydaje mi się, że gdybym czytał jego „Uśmiech” i „Zmory” przedtem, zanim swoje zacząłem pisać, byłyby moje książki także inaczej wyglądały... Bylbym może nabrał więcej odwagi do śmielszego wypowiedziania się. Cóż, każdy pisarz idzie swoimi drogami, rzadzi się swoimi kategoriami i moje pisanie poszło po „turecku”, nie po „zegadłowiczowsku”, czy po „jezowski”, czy „lamowski”...

— Kiedy zaczął Pan pisać? Pańska pierwsza książka, „Moja Mama, ja i reszta” ukazała się w 1960 roku...

— Proszę Pana, ja pisałem nie od teraz, ale życie ciągnęło mnie do tego. Jeszcze w młodości pisałem takie sobie wierszki częstochowskie. Później, kiedy pracowałem w fabryce, każdą rzecz, która się zdarzyła, a miała posmak sensacyjny, opisywałem do gazetki ściennej, przeważnie wierszem. Nigdy jednak nie myślałem, że trafi się coś większego, „tłuściejszego”, że moje pisanie znajdzie się kiedyś na półkach księgarskich, że ludzie będą to czytać. Ale ścigały mnie o to dzieci, opowiadałem im rozmaite rzeczy, mówiły „pisz Tatusiu, to nam na pamiętkę!” I tak na pamiętkę zacząłem sobie, chociaż z początku, jak napisałem kilka stron i pomyślałem, jaka to ta książka musi być wielka, ile czasu musi człowiek jej poświęcić, opadły mi ręce: Boże! Kiedyż ja to mogę skończyć? I przestałem. Po pewnym czasie, kiedy zacząłem z powrotem, jużem się od niej nie oderwał. Pisałem po 16 godzin, pisałem całymi nocami, potem całymi dniami wolnymi, przeważnie na kolanach, kłęcząc albo leżąc na trawniku, na kocu... Po prostu wpadłem w nałóg, musiałem pisać, już nic mnie od tego nie mogło oderwać. Nawet kiedy tutaj naprzeciwko, w Domu Ludowym, odbywały się tańce, zabawy (a tańczyć namiętnie lubię stare polskie tańce, lubię się bawić), już mnie nie oderwało. Tu grali, tańczyli, po mnie przychodzili koledzy, ja już się nie oderwałem, nie odszedłem. Z kolei przyszyły kłopoty: czy to ktoś wyda? Kiedyś przypomniałem sobie, że przecież w Warszawie pracuje syn kolegi, z mojej wsi, Woli Dalszej, Mieczysław Grad, redaktor „Zielonego Sztandaru”. Pan Grad przejrzał jeden mój rozdział i po wydrukowa-

by mający się wkrótce ukazać u F. Hoësicka zbiorek „nie więcej” miał być labejdźm śpiewem autora „dnia jak codzień”.

Po ukazaniu się nr 4 „Kameny” otrzymałem list otwarty od K. W. Zawodźńskiego, który wyraził żal, iż nie zabrałem głosu co do meritum sprawy, bo „rozejrzanie się w stwierdzeniach mojego artykułu ukazałoby słuszność supozycji Pana Redaktora, iż „decyzji Czechowicza nie należy brać poważnie”. Przylapano na operowaniu brudną insynuacją, udaje on, że jest przedmiotem „tepienia i likwidowania”, podczas gdy nawet w tym artykule nie postawiony jest w wątpliwość jego talent poetycki wielokrotnie przeze mnie wyudatniany (...). Byłoby wskazane, żeby „Kamena”, organ poetów, przy tej sposobności z właściwą jego Redaktorowi uczciwością i poczuciem moralnym, zastanowiła się nad całą tą sprawą dla naprawy złych obyczajów w dziedzinie polemik literackich (...). Decyzja p. Czechowicza niepojedynkowania się z mną b. upraszcza sprawę, gdyż z jednej strony mundur, który noszę, obowiązuje mnie do dania satysfakcji honorowej, z drugiej strony osoba mego przeciwnika wywołałaby wielkie wątpliwości co do tzw. „Satisfactionfähigkeit”.



niu fragmentu z niego apelował: „Proszę pisać, Panie Romanie, pisać, choć kolana boją (bo mię zastał na kolanach piszącego), pisać — to będzie dobre! No i pisałem...”

— Wreszcie książka „Moja Mama, ja i reszta” wyszła z druku, zyskała liczne recenzje, recenzje bardzo przychylnie, a niekiedy entuzjastyczne. Jak zareagował na to autor?

— Skoro zawiadomiono mnie, że książka już wychodzi, nie opuszczałem domu, bałem się. Najbardziej bałem się, że stanę się pośmiewiskiem ludzi, że może nazwą mnie jakimś oderwanym od wiary ojcem, że mnie nazwą bezbożnikiem, ponieważ tam się wkradły różne rzeczy lekkie w mniemaniu ludzi. Dopiero kiedy mi pokazano pierwszą recenzję, kiedy przez radio słuchałem audycji, słuchałem jej zresztą w gronie rodziny, bo przyjechała córka z Krakowa — z wielkim strachem zacząłem słuchać, później z wielką radością, a żonie mojej popłynęły po policzkach łzy rozrzewnienia, tak się rozczuliła tym wszystkim.

Zresztą jest to godne podziwu, ponieważ jestem człowiekiem nieprzygotowanym do pisania. Jak wiadomo, nie studiowałem literatury, z wyjątkiem tego, że język polski bardzo ukochałem i chciałem w tym języku napisać coś takiego ażeby czytelnik czytając moją pracę odetchnął sobie po całodziennym trudzie, oderwał się od myśli codziennych, odpoczął, no i zasnął przy niej, kiedy mu się znuży.

Wielu czytelników zastanawia się nad tym, jak wygląda u Pańskich książkach zagadnienie prawdy i fikcji?

— Każda niemal opowieść, jest prawdziwa. A więc fikcji wiele nie ma. Prawda jednak przez wyobraźnię autorską musi być ubrana w takie szaty, jakieś takie piękniejsze, dla oka miłsze, wesejsze.

— Jak by Pan określił krótko swoje założenia pisarskie?

— Chciałem dać w swojej książce to wszystko, czym sam żyłem i czym żyją ludzie.

— W ubiegłym roku ukazała się Pańska druga książka pt. „W służbie Najjaśniejszego Pana”, stanowiąca niejako ciąg dalszy „Mojej Mamy...”. Czy czytelnicy mogą oczeki-

(Dokończenie na str. 7)

## KULISY PEWNEJ ANIMOZJI

Oto co pisze w tej sprawie: „Zacząło wychodzić w Wielkopolsce piśmko poświęcone rzekomo poezji, a właściwie mojej osobie. Bez wzmianki bowiem o mnie lub przejrzystych aluzji nie obszedł się dotąd żaden zeszyt (...). W tym tedy piśmie, po rozmaitych przyczepkach i wycieczkach polemicznych oraz drobnych insynuacjach, które można było zbyle lekceważącym milczeniem, zjawia się kalumnia grubszego kalibru. Wypłynęła ona spod pióra p. Józefa Czechowicza, poety skąd inąd nie pozbawionego zdolności, zjawiając się jakby potwierdzenie tezy, broniącej przede mną w zeszytach „Zecie”, że talent artystyczny wcale jeszcze nie gwarantuje moralnej wartości człowieka. Nie wymieniono mego nazwiska, by utrudnić widać drogę sądową, ale żeby przejrzysty adres dla nikogo już nie pozostawiał wątpliwości, uwyraźnił go stawiając kropkę nad „i” sam redaktor na innym miejscu tegoż zeszytu. Samo już bezpodstawne zręczenie komuś w twarz krzywdzącej jego honor supozycji wydaje świadczyć o autorowi bajki. Tak jak najłatwiej podnosi rękę na człowieka pijany cham, dla którego policzek mierzy się tylko siłą zadającej go pięści, tak człowiek bez czci, bez instynktu moralnego najłatwiej rani cudzy honor imputując niskie pobudki czynom innego.

Ale w danym wypadku mamy do czynienia więcej niż z lekkomyślnym szarpaniem cudzej czci, bo z wyraźną złą wiarą, świadomym kłamstwem, stojącym w sprzeczności z faktami publicznie znanymi i nietajnymi nikomu. kto jak ci dwaj pisarze jest au courant życia literackiego, a specjalnie spraw poezji w Polsce”.

W dalszej części artykułu Zawodźński przytacza fakty: swą dziewięcioletnią blisko, „dosyć czynną” współpracę z „Wiadomościami Literackimi”, przerwana w r. 1931 „przez zatarg”, a wznowioną po powrocie z Brukseli (gdzie Zawodźński przez pewien czas prowadził na uniwersytecie katedrę literatur słowiańskich). „Zarówno w poprzedniej fazie współpracownictwa, jak i w roku bieżącym pisałem o poezji zachęcony specjalnie do tego przez redaktora, wkuypować się więc do grona współpracowników nie musiałem. Natomiast „posady stałego recenzenta” w tym tygodniku nie zajmowałem i nie zajmuję (...) za swoje dość rzadkie i zwykle niewielkie artykuły jestem wynagradzany „od wiersza”, według stałej normy, która redaktorom pism honorujących „honorowo” i ich współpracownikom może się wydać zawrotną”.

Z kolei Czechowicz poczuł się obrażony i wystosował do „Kameny” pismo następującej treści:

Kazimierz Andrzej Jaworski

Fragment przygotowywanej do druku książki „W kręgu Kameny”.



# OSTATNIE SŁOWO

WIESŁAW JANICKI

Jeżeli mam już mówić o tym, co wydarzyło się w nocy z dwudziestego na dwudziestego pierwszego, i jeszcze raz wyciągać i rozgrzebywać te wszystkie rzeczy, o których człowiek pamięta w taki sposób, jakby tylko one miały w życiu jakiś znaczenie, więc jeśli mam o tym mówić, to muszę chyba zacząć od samego początku.

A na początku nie było jeszcze tej krwi na moich rękach, i nie było podejrzania, że kiedyś będzie, bo przecież człowiek nie rodzi się od razu dobry albo zły.

Na początku, kiedy jeszcze do tej nocy z dwudziestego na dwudziestego pierwszego było daleko, ale nie tak daleko, żebym nie mógł sobie wszystkiego przypomnieć i powtórzyć, i kiedy jeszcze nie wiedziałem, co sobie myśli człowiek, który wie, że z jego winy stało się coś, czego nie można odwołać, — na samym początku była żona i ten jej syn, o którym później mówiono, że umarł tak, jak przyszedł na świat, to znaczy niepotrzebnie. Ale to nie była prawda. Każdy kto ma kawałek ziemi wie, ile trzeba pracować, żeby z niej wydusić i chleb, i ubranie, i to wszystko, co jest potrzebne do życia, a ludzie zawsze opowiadają sobie niestworzone historie.

Kiedy z tyłu na szyi zrobił mi się ten wrzód, od którego umarł, chciałem go zawieźć do lekarza i byłbym to zrobił, tylko ciągle miałem pełno innych rzeczy do zrobienia.

To prawda, że nie byłem ojcem tego chłopaka, ale widziałem oczy jego matki, kiedy już leżał w trumnie, i przyszedł ksiądz, i zaczął wspaniewać te swoje psalmy. Niczego nie było w jej oczach oprócz rozpaczliwej pustki a potem chociaż urodziła syna i córkę, i jeszcze jednego syna, jej twarz nawet w uśmiechu nigdy nie wyglądała tak, jak przedtem. Czasami mi się wydaje, że kobiety lubią, jeśli je coś boli.

Nie ma czego ukrywać, nigdy nie kochałem mojej żony, i dopiero teraz po tylu latach myślę, że to był chyba początek zbrodni.

A potem była wojna i przyszła do nas tak samo, jak do innych.

Kiedy Janek, to znaczy denat, musiał iść, żeby bronić tego, co już dawno zostało stracone, ubrali go w drelichowy mundur i kazali maszerować. Przyszedł wtedy do domu na kilka godzin, żeby się z nami pożegnać, a kiedy już to zrobił i poszedł na tę wojnę, jego matka powiedziała, że już nigdy go nie zobaczymy.

— O Jezu — tak powiedziała — co ci jestem winna, że mi go zabierasz, nie dosyć ci było jednej ofiary?

A ja jej odpowiedziałem, że nie wolno rozpaczć, bo przecież Janek żyje i płakać po nim jest zupełnie tak samo, jak płakać po kimś, kogo się już widzi w trumnie.

— Nie wszystkie kule na wojnie trafiają — powiedziałem do niej, bo nie mogła zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi — a dla naszego Janka nikt jeszcze kuli nie przygotował. Zobacysz, że wszystko będzie w porządku. Ja sam przez całe cztery lata siedziałem w okopach, to wcale nie jest takie straszne.

Trochę się wtedy uspokoiła, ale widziałem, że nie była przekonana do samego końca.

Tylko Andrzej pojmował to wszystko zupełnie inaczej i słuchał z wypiekami na twarzy, bo tak mu się chciało iść na tę wojnę razem z Jankiem, ale nie muszę tyłu lat, w tym czasie nie miał jeszcze ogół, bo to było potrzebne.

Za to już później na dobre wyprowadził się z domu i nie wiadomo było, gdzie się obraca, aż do czasu, kiedy przyszedł w samym środku nocy. Pamiętam, że usiadł wtedy na krześle, a kiedy matka ściągnęła mu buty, żeby je wysuszyć przy piecu, bo były zupełnie mokre, wyciągnął z kieszeni rewolwer i położył go na stole.

— Wie ojciec co to jest? — tak mnie zapytał ten dureń — więc mu odpowiedziałem, że wiem i jeszcze to, żeby schować ten rewolwer, bo zaraz wejdzie matka.

Wtedy schował go z powrotem do kieszeni i zaczął opowiadać o swoich sprawach, ale nie mówił za dużo, bo mu widocznie zabrakło.

W tym czasie nie strzelał jeszcze do ludzi, tylko siedział z innymi w lesie, gdzie go uczono, jak się robi takie rzeczy. Dopiero kiedy przyszedł za drugim razem, na pogrzeb matki, miał już w tych sprawach sporo praktyki. Opowiadał nawet, kiedy się upił na stypie, o tym, jak to wygląda po wy-

strzeleniu do człowieka, który się niczego nie spodziewał i najpierw robi okropnie głupią minę, a potem zachowuje się tak, jakby chciał prosić, żeby więcej nie strzelano i cofnąć te kule, które już w nim siedzą.

A potem już częściej przychodził do domu i za każdym razem opowiadał coś nowego, a mówił o takich rzeczach, od których słyszenia włosy mogą się jeżyć na głowie. Taki był ten Andrzej. Nie miał chłopak szczęścia, bo zamiast uczyć się w szkole tych wszystkich mądrości, które mogą się przydać w życiu, od samego początku uczył się nienawidzić.

— Tato — tak mi kiedyś powiedział — tylko niech tato nie pomaga żydłakowi, jak by się kiedyś przypętał. Najlepiej od razu wygonić i niech sobie zdycha kiedym Żyd. Nareszcie przyszedł na nich termid i mając to, na co zasłużyli.

Kiedy teraz myślę o tamtych czasach, to wydaje mi się, że to ja sam mówiłem w taki sposób, chociaż nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego jeden człowiek jest gorszy od drugiego.

Przed samym końcem tej wojny przyszedł do mnie znajomy Janka i powiedział, że mogę już zamawiać mszę za spokój jego duszy, bo byli razem, kiedy mój syn oberwał w żołądek podczas jakiegoś ataku. Wtedy zamówiłem tę mszę, jakbym na prawdę wierzył, że Janek już nie żyje, a przecież wiedziałem, że tak nie jest. Nikt mi o tym nie mówił, ale czasami człowiek potrafi wiedzieć coś, o czym mu nikt nie powiedział.

A po wojnie, kiedy nie dawał żadnego znaku, że żyje, w dalszym ciągu wiedziałem, że kiedyś napiszę i napiszę.

— Wiesz — powiedziałem do Andrzeja, kiedy przyjechał na niedzię do domu — Janek pisze, że jest zdrowy i cały.

— Co tato powie — odpowiedział mi Andrzej. Tylko tyle i nie więcej, ale widziałem, że zrobił się bledy, i nie wiedziałem tylko, czy dlatego, że się cieszy, czy może tak go ta wiadomość zaskoczyła. Dopiero później powiedział, że to go wcale nie zdziwiło, to znaczy nie to zdziwiło go, że nie napisał wcześniej.

— Dobrze mu się powodzi — powiedział — no pewnie, po co miał pisać wcześniej? Pieniądzy ma na pewno całą masę i wcale nie potrzebuje nikomu pomagać.

Może nie każdy zrozumie, dlaczego mówię o różnych sprawach, a nie o tej jednej, która jest ze wszystkich najważniejsza, i o której powinienem mówić cały czas, ale nie potrafię dzisiaj powiedzieć czy te najdrobniejsze nawet rzeczy nie mają dla mnie na prawdę żadnego znaczenia. Czasami mi się wydaje, że gdybym w jakiejś chwili postąpił inaczej niż postąpiłem, wszystko byłoby też inaczej. Ale nie będę już rozwlekał tych rzeczy. Zamordowałem własnego syna i to jest najważniejsze.

Teraz kiedy już minęło kilka lat od tamtej nocy z dwudziestego na dwudziestego pierwszego, sam sobie zadaję pytanie, w jaki sposób mogłem żyć przez te wszystkie dni i patrzeć na te wszystkie rzeczy, które były świadkami zbrodni, i które chociaż są martwe i nie potrafią mówić, wyglądają tak, jakby za chwilę miały krzyknąć — ty jesteś mordercą.

Zawsze i o każdej porze, kiedy tylko musiałem patrzeć na to krzesło, albo na to miejsce na podłodze, które potem trzeba było przysypać piaskiem, rodził się w duszy straszny lęk. I chociaż wiesz, że te rzeczy nigdy nie zdradzą twojej tajemnicy, czujesz się jak dziki zwierz, który wpadł do pułapki i wie, że za kilka godzin przyjdą ludzie i to już będzie jego koniec.

A były jeszcze i noce, podczas których człowiek nie może ani spać, ani leżeć i widzi wszystko od początku, jakby siedział w kinie, tylko z kina można wyjść, a od siebie samego nikt nie może ucieknąć.

Więc kiedy przyszedł pierwszy list od Janka, w którym pisał, że żyje i dobrze mu się powodzi, bo dostał w Anglii pracę, widziałem twarz Andrzeja i mogłem się domyślić, co to oznacza. On był już w tym czasie sam i chociaż mieszkał i pracował w Białymstoku, to całe gospodarstwo i ta ziemia były już jakby jego, bo Marysia odeszła z domu i dostała swoją część, która jej się należała. To była ta sama część, którą ja dostałem za swoją żonę razem z tym jej panińskim chłopakiem. Ale dopiero po kilku latach, kiedy już było zupełnie pewne,

że Janek powrócił do kraju, dopiero wtedy Andrzej powiedział wyraźnie o co mu chodzi.

— Wie tato co — powiedział, kiedy przyjechał po pieniądze bo mu na coś były potrzebne — Janek na pewno powrócił bogaty. Tam wszyscy mają tyle forsy, że nie wiedzą co z tym robić.

Wtedy i ja tak myślałem. Kiedy przyszła ta noc z dwudziestego na dwudziestego pierwszego, Janek, to znaczy denat, był już w domu od kilku miesięcy. I przyjechał wtedy do Andrzeja, a ja od razu wiedziałem, że ma do niego jakąś sprawę, ale nie chce o niej mówić i zaczyna dopiero później, kiedy już porządnie wypije, bo przywiózł ze sobą kilka butelek wódki.

— Niech tato zrobi tak, żeby Janek wypił — powiedział do mnie na samym początku, bo Janek, to znaczy denat, nigdy nie pił więcej niż dwa albo trzy kieliszki.

— Ty skurczybyku — tak mu odpowiedziałem — chcesz go na pewno na czymś oszukać.

— To on jest skurczybyk — wykrzyknął Andrzej, ale się zaraz uspokoił, widocznie dlatego, żeby nas Janek nie usłyszał.

— Tato, czy on jest twoim synem? albo moim bratem? Niech się tato zastanowi. Przyjechał jak wielki pan, a co od niego tato dostał? Gówno.

Tato dostał zapalczykę, a ja dostałem szczyryki Skurczybyk, muszę i muszę dzisiaj porozmawiać.

I porozmawiał.

Kiedy już był zupełnie pijany, powiedział do Janka tak:

— Słuchaj, Janek. Ja wiem, co mi odpowiesz, ale potrzeba pieniędzy, mieszkanie. Nie mogę mieszkać w chlewie.

A Janek odpowiedział mi, że nie ma pieniędzy i naprawdę nie miał.

— Nie masz — krzyknął na niego Andrzej — jak nie chcesz dać po do- roci, to sam sobie weźm.

I rzucił się na niego, a ja mu zacząłem pomagać.

Pamiętam, że kiedy Janek leżał na ziemi i Andrzej bił go po głowie butelką, ja sam powiedziałem wtedy — dobrze ci tak, ty skurczybyku, ale nie wiem, czy usłyszał, bo chyba już wtedy nie żył.

I to już koniec tego, co chciałem powiedzieć. Wiem dokładnie jak wyglądała moja wina i to jeszcze wiem, że ja go zabiłem znacznie wcześniej, i nie tylko jego, bo i siebie i drugiego syna. Przez tę obojętność na wszystko, co się dookoła dzieje, i przez ten brak odwagi, żeby przeciwstawić się złu. Dlatego Wysoki Sądzie nie może o łagodny wymiar kary. Dla mnie już wszystko zostało skończone przedtem, nim się cokolwiek zaczęło.

## CZY TYLKO PRZESZŁOŚĆ?

IRENEUSZ JAN KAMIŃSKI

**R**OZGRZANY czterdziestostopniowym upałem autobus PKS ruszył z białostockiego dworca, aby po półgodzinnej podróży dowieźć pasażerów do Supraśla, niewielkiego miasteczka liczącego 3,5 tysiąca mieszkańców, położonego wśród lasów, nad rzeczką o tej samej co miasto nazwie.

Ociekające olejkami do opalania towarzystwo rozleź się w różnych kierunkach i zostałem sam na rozpalonej słońcem ulicy, nie bardzo wiedząc dokąd skierować kroki, gdy w pewnej odległości spostrzegłem drewniany i jasno wymalowany budynek, na którym zamalowana była tablica z napisem — „Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Supraślu”.

Minąłem kilkadziesiąt metrów wysadzanej „kocimi łbami” ulicy i wszedłem do urzędu.

I dowiedziałem się, że przyjeżdżam za późno, bo już miesiąc temu zakończono huczne uroczystości 500-lecia miasta, obchodzone w dniach 22—23 czerwca br.

Na pocieszenie udzielono mi kilku informacji dotyczących sytuacji miasta oraz wręczono plik papierów wraz z życzeniami przyjemnej kąpieli i odpoczynku.

Oto wiadomości o wiekowym Supraślu, równie niespodziewane, jak interesujące.

Legendarne i niesprecyzowana data założenia miasta wiąże ten fakt z wiekiem XIV, lecz pierwsza wzmianka źródłowa pochodzi z r. 1500, kiedy to sprowadzono Bazylianów, którzy zbudowali klasztor i cerkiew, zdobając je malowidłami pedzła zakonnik serbskiego (w r. 1557).

W końcu wieku XVI przeniesiono z Zabłudowa urzędzenia bliskie dziennikarskiej duszy — drukarnie, a w r. 1710 metropolita Leon Kiższka, herbu Dąbrowa, zakłada w Supraślu fabrykę papieru. Tym samym zbudowano pierwszą papiernię na wschodnich terenach Polskiej Królewskiej.

We wspomnianie drukarni i na miejscowym papierze wydrukowano pierwsze polskie wydanie „Przygód Gullwera” i „Cyda” Corneille’a!

Pod względem stopnia rozwoju przemysłowego Supraśl wyprzedzał nawet Białystok, który dopiero w latach siedemdziesiątych XIX w. uzyskał supremację dzięki nowo zbudowanej linii kolejowej.

W niewielkim, letniskowym dzielnicy miasteczku, już w roku 1834 zbudowano pierwszą na Białostocczyźnie fabrykę sukna i kortów, co automatycznie powiększyło liczbę robotników, czterokrotnie czynnie występujących przeciwko wyżywkowi ze strony właścicieli. Najlepiej świadczy o tym strajki, między innymi — z roku 1878 i znacznie późniejszy, bo z 1933 roku.

Tak wyglądał Supraśl w przeszłości bogatej w wydarzenia, które, utrwalone na urzędowych dokumentach i stronach monografii miasta, składają się na obraz żywy i nadzwyczaj ciekawy.

A obecnie? Czy miasto liczące 500 lat rozwija się zgodnie ze swoją tradycją i możliwościami?

Po rozmowie z przewodniczącym i sekretarzem PMRN, po dokładnym zwiędzeniu miasta i orzeźwiającej kąpieli w niezbyt czystej rzeczce — doszedłem do pewnych wniosków, mam nadzieję — uzasadnionych.

Współczesny Supraśl nie posiada prawie żadnych perspektyw rozwoju przemysłowego, a jedyny tartak nie rozwija się, problem zatrudnienia mieszkańców, podobnie jak wielki zakład stolarski, który zostanie oddany do eksploatacji w ostatnim kwartale br.

Przyszłość miasta związana jest rozwojem turystyki i przekształcaniem Supraśla w miejscowość letniskową z prawdziwego zdarzenia. Niewielka odległość od Białegostoku, dobre warunki klimatyczne i urozmaicony teren (pagórki, lasy, rzeka), każą widzieć w Supraślu ośrodek wypoczynkowy stolicy województwa.

Niestety — naturalne i dogodne warunki są wykorzystane w znikomym stopniu! Od kilkunastu miesięcy nie można znaleźć chętnych na budowę domów wczasowych na oferowanych przez miasto 16 hektarach pięknego terenu graniczącego z lasem, a władze powiatowe i wojewódzkie nie wykazują specjalnego zainteresowania Supraślem, nie udzielając kredytów itp. pomocy.

Sadzę jednak, że władze miasta oprócz czekania na pomoc województwa i powiatu powinny wykazać więcej inicjatyw w poszukiwaniu chętnych instytucji, które chciałyby w dziele własne domy wczasowe na terenie letniska. Nie sprawi wiele trudności i kłopotu ogłoszenie w centralnej prasie odpowiednio sformułowanej propozycji; może znajdzie się reflektant, podobnie jak znalazł się Związek Zawodowy Pracowników Gospodarki Komunalnej z Białegostoku, który ma zamiar zbudować własny ośrodek wodno-wczasowy.

Zdobyć wczasowiczów jedynie naturalnym urokiem miasta nie jest łatwym zadaniem, a właśnie Supraśl nie posiada innych „lubczyków”, jeżeli wyłączymy nieliczne zabytki architektury (np. pałac Chodkiewiczy).

Wąskotaśmowe projekторы malepszego kina mieszczącego się w budynku PMRN nie są w stanie zabić nudy, którą przynosi zmrok wieczoru. Próbowano uzyskać zgodę na adaptację do potrzeb kina od lat nieczynnego kościoła ewangelickiego, lecz pertraktacje między PMRN a przedstawicielem Konsystorza Ewangelickiego w Warszawie nie dały oczekiwanych rezultatów.

Jedyną placówką kulturalną, która w pełni zaspokaja potrzeby ludności miejscowej i wczasowiczów, jest biblioteka kierowana przez p. E. Feret. Księgozbiór liczący 8000 tomów dzieli się dużym wycięciem, o czym najlepiej mówią cyfry — 32% czytelników



Rano, pierwszego dnia, mama wyjechała do sanatorium w Dusznikach, a przed południem znalazłam wiele radości, ponieważ przyjęto mnie do ósmej klasy Liceum Ogólnokształcącego w Rzeszowie i Edek, mój brat, kupił mi w nagrodę zegarek marki „Rubla”, za 270 złotych. Innego kupić nie mogli, musiał jeszcze zapłacić za obłady w stółce, za mleko i za gaz, krawcowi za uszyte spodni i za resztę musiał przetrzymać cały miesiąc; dlatego ten zegarek to była taka ważna rzecz.

W tym samym dniu zawiadził mnie służbowym motorem do ciotki Sojowej w K., bo mu na to pozwolili prezes i Edek musiał tylko zapłacić za benzynę. W drodze zmoczył nas deszcz, to znaczy Edek więcej, bo ja siedziałam z tyłu, ale gdy dojechalśmy na miejsce, już byłam sucha i po podwieczorku siedziałam w stodole na słomie i czytałam książkę „Wyprawa na Kon-Tiki”, w której jest mowa o odwadze kilku mężczyzn i są piękne opisy życia oceanu. Edek zaraz odjechał, zostawiając mi pięćdziesiąt złotych na kieszonki i lody, a ja poprosiłam ciotkę, żeby mi pozwoliła doić kozę. Kozę ma na imię Troczka i jest tak bardzo przez wszystkich lubiana, że nie wyobrażam sobie, żeby ciotka mogła bez niej żyć, naprawdę. Ciotka się na to zgodziła, jednak szło mi z dojeniem marnie i wszelkie próby zawiody. Było przy tym wiele śmiechu i nabijania się ze mnie. Ponadto ciotka wypuściła na podwórzu świnkę Gucię i przez plot rozmawiała z sąsiadką, panią Janką. Stały długo przy płocie i pani Janka mówiła, czy karmić świnię, żeby były wielkie i tłuste, i mówiła też, że jej syn, Władek, odbywa praktykę w Radomiu i nie będzie miał kto pomagać przy żniwach. W tym czasie Gucia, straszna pieszczoła, biegała po całym podwórzu, aż wreszcie położyła się obok ławki, na której siedziałam z wujkiem. Później zjedliśmy dobrą kolację i tak się zaczęły moje wakacje, po raz drugi u ciotki w K.

K. nie jest ładna, ani nie jest brzydka. Jest to trochę wieś i trochę małe miasteczko, ale bardziej wieś, którą można polubić tam, gdzie jest najmniej zabudowań. Najwięcej jest w K. zwykłych parterowych domków z drewnianymi gankami. Za domami są pola uprawne i ogrody, i obok nich idzie się do stacji kolei wąskotorowej. W rynku są sklepy, jest kino, remiza, kościół oraz wielka studnia-pompa, przy której spotykają się kobiety i rozmawiają. Wieczorem gromadzą się tam niektórzy mężczyźni.

Koło domu ciotki stoją trzy nowe budynki, bez dachów, a jeden jest prawie gotowy do zamieszkania. Córka tego pana, który ma już dom prawie gotowy, zemdlała raz przy budowie i robili jej sztuczne oddychanie, dmuchając powietrze z ust do ust i zatykając nos. Nie wiedziałam, że można coś takiego robić i mocno się dziwiłam. Widziałam to, wracając od wujka, bo wujek także buduje mały dom, a ja mu nosiłam śniadanie. W lipcu wujek miał urlop i nie jeździł do pracy kolejną, ale nie zdarzył mi się ani jeden wolny dzień, prócz niedziel. Zawsze wstawiał najwcześniej, a myśmy z ciotką jeszcze spały, tak że kiedy wychodził, to nawet o tym nie wiedziałam. Nosiłam mu śniadanie na budowę, a wujek jadł i cały czas żartował, chociaż w niektóre dni był bardzo zmęczony. Muszę panu powiedzieć, że wujek jest okropnie dowcipny. Zapytany, odpowiada śmiejąc i wszyscy się z wujka śmiejemy, ciotka, Marta i ja (Marta — to córka wujka i ciotki). Polubiłam go szczególnie, ponieważ w żartach potrafi być poważny, a nie wszyscy ludzie umieją to robić i nie wszyscy mają ten dar.

Wtedy, gdy wujek miał urlop, tylko raz nie byłam na budowie. Obudziłam się rano, sama w całym domu, wzięłam stary ręcznik i urządziłam polowanie na muchy. Pełno ich wszędzie było i nawet gdyby wynaleziono coś dobrego, to niewiele by to pomogło, ponieważ stajenka przylega do domu i nie się nie zmieni, dopóki wujek nie skończy budować i nie przeniesie się na nowe. Ciotka z wujkiem i z Martą mieszkają w starym domu, który nie jest ich własnością, a ten dom jest naprawdę bardzo stary i nie ma też żadnego pożytku; w oknach dziury, a na suficie plamy od deszczu. Dlatego wujek buduje swój dom, ale bardzo powoli. Od kilku lat wujek boryka się z tym domem i nikt mu nie pomaga. Wojtek, syn wujka, a mój kuzyn, skończył dopiero Technikum w Jarosławiu i od niedawna pracuje w Biesz-

czadach, przy budowie zapłacił tylko że jeszcze pomoć wujkowi nie może, nie na to czego. Dom będzie gotowy w przyszłym roku, przed zimą, najpóźniej na wiosnę trysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego. Na razie wszyscy śpią w jednym pokoju, a kiedy przyjeżdża Wojtek, to także w kuchni, w lecie Wojtek śpi na strychu.

W tym roku się trochę zmieniło. Ciotka z Martą spały w pokoju na łóżku, ja obok nich na otomanie, a wujek na żelaznym łóżku w kuchni. Wujek przeniósł się tam w czasie wakacji i nawet zabrał z pokoju głośnik, ponieważ przed zaśnięciem chciał słuchać audycji radiowych i komunikatów o pogodzie. Powiedział ciotce, że my możemy słuchać radia cały dzień i z tego powodu ciotka klóciła się z wujkiem, niegroźnie. Miała rację.

# Spostrzeżenie

KAZIMIERZ BOSEK

To, co powiedział wujek, wyglądało, jakby ciotka przez cały dzień nic nie robiła, tymczasem ona także pracuje i jeszcze zarabia szyciem sukienek i robieniem swetrów, w domu zaś roboty jest zawsze co niemiara. Z rana ciotka sprząta, w czym jej pomagałam wraz z Martą, potem wychodziła do ogródka albo do robót w polu, a około jedenastej już gotowała obiad dla wszystkich, dla wujka i szczególnie dla dwóch robotników z budowy. Po wydojeniu Troczki i nakarmieniu Guci i po umyciu naczyń, znowu wychodziła w pole i na budowę i wracała, jak się już ściemniało. Jeżeli ciotka szła pomagać na budowę, to ja z Martą musiałam paść Troczkę, której nigdy nie prowadziłyśmy na sznurku, bo szła za nami jak pies i mleko tryskało z jej wymienia; poważny widok, taka koza, której mleko tryska z wymienia.

W ogóle, z powodu budowy ciotka miała więcej pracy i zmartwień niż zwykle, musiała pomagać wujkowi, musiała gotować obłady i dobrze się o wszystko starać. Ci robotnicy z budowy byli bardzo wymagający i ciotka musiała im dawać na obiad same najlepsze rzeczy, mięso, pierogi z borówkami i śmietaną, młode kurczaki i jajka i bardzo dużo ją to kosztowało; na szczęście, w kwietniu kupiła trzydzieści piskląt i ją urządziła, gdy urosły. Myśmy zaś jedli różnie, mleko, ser, owoce i jarzyny, ale najlepsze były kolacje, ponieważ wieczorem ciotka miała więcej czasu niż w dzień i mogła coś dobrego przygotować. Dwa razy w niedzielę były na obiad młode kurczaki, bo robotnicy wszystkiego nie zjedli.

Wszystkie niedziele, z wyjątkiem jednej, kiedyśmy szukali stonki ziemniaczanej (w inne dni nie starczyło czasu), były najbardziej swobodne. Po obiedzie siadaliśmy z wujkiem do remi-brydza, na co początkowo zżymała się ciotka, dopóki jej nie wytłumaczyliśmy, że to porządna i ciekawa gra. Potem wujek szedł zobaczyć, co na budowie zostało zrobione i co jest jeszcze do zrobienia, a ciotka mówiła, że byłoby lepiej, gdyby się wujek położył chwilę i zdrzemnął. W niedzielę także wujek wychodził na piwo do gospody, ciotka zaś spała w ogrodzie lub wychodziła do sąsiadki. Ja natomiast oddawałam się rozrywkom. Czytałam książki, albo z koleżanką Iwoną, z którą zaprzyjaźniłam się dwa lata temu, wychodziłyśmy do kina i na spacer do parku, zabierając ze sobą Martę. Muszę przyznać, że park w K. jest ładny, tylko nie ma w nim ławek. Drzewa natomiast są różnego rodzaju: osiki, świerki, jesiony, brzozy, płaczące wierzby i wiele innych, których nie znam nawet z nazw, bośmy się tego w siódmej klasie nie uczyli. Tworzą wielki zielony dach i zakątki-polany, i miejscem dobre do rozmyślań. W pobliżu — prześliczny pałac, przeznaczony obecnie na liceum, za pałacem staw, w którym w ciepłe dni podczas roku szkolnego kąpią się licealiści. Z parku widać pola porośnięte ziem-

niakami i zbożem, dalej, długim sznurkiem, ciągną się stare domy i szopy, i wyglądają ładnie, tylko gdy jest wieczór i mgła.

Do parku i na spacer chodziliśmy same. Iwona i ja, ponieważ wszystkie dzieci w K. pomagają swoim rodzicom i tylko niektóre wyjeżdżają na kolonie. Chłopcy zaś są niegrzeczni wobec dziewczynek i mało poważni, a każdy z nich ma swoje śmieszne przewraski, np. Cykuś, Pompka, Bąbel. Wieczorem biegała z procami i korkowcami, rano i po południu pasła krowy. Do kina nie chodziła, ponieważ jej mało filmów dozwolonych dla dzieci. Mnie z Iwoną udało się być w kinie każdego tygodnia. Po raz pierwszy oglądaliśmy film „Królewskie dzieci”, z którego wyszliśmy rozczarowane; nie był taki, jak zapowiadał tytuł. Natomiast inny film, „Panieńskie lata”, produkcji radzieckiej, był przyjemny i przedstawiał obrazek z życia codziennego. Bardzo mi się podobała postać głównej bohaterki, jej cechy charakteru oraz wygląd zewnętrzny. Nie zadowolono mnie tylko, że się ten film źle kończy: żona, młodzianka zresztą i bardzo dobra, odchodzi, a raczej odchodzi mąż na żądanie żony; tak być nie powinno.

Dużo zadowolenia dawało mi obserwowanie. Mogłabym całymi godzinami siedzieć i patrzeć, ponieważ uważam, że patrzenie daje człowiekowi wiele korzyści. Jednej niedzieli usiadliśmy z Iwoną na małym wznieśieniu, skąd mogłyśmy zobaczyć, jak odbywa się wesele. Najpierw para młoda, wraz z orkiestrą, rodziną i znajomymi obešla kilka ulic, a następnie udala się do kościoła, bardzo uroczyste. Pani młoda miała na sobie białą suknię do kostek, na nogach złote szpilki, a na głowie welon i wianek, pan młody był w ciemnym garniturze i lakierkach. Grupa przebranych chłopców, pod przewodnictwem Bąbla, który miał czarną brodę i maczugę, co parę kroków zagradzała drogę orszakowi, przeciągając w poprzek ulicy szlaban zrobiony ze sznurka udekorowanego kwiatami i kolorową bibułą, i ci idący musieli się wykupywać pieniędzmi. Po ślubie wrócili do domu, gdzie odbywała się uroczystość. Goście i nowożeńcy tańczyli na podłodze ustawionej w ogrodzie. Orkiestra grała polonezy, walce, fokstroty i twisty. Przybywało coraz więcej gości, proszonych i nieproszonych. Sąsiadka, pani Janka, którą poproszono na wesele, opowiadała ciotce, że w nocy jeden pijany zażądał od gospodarzy pół metra, czyli pół litra wódki, a ojciec pani młodej poszedł do komory i przyróżował mu metr stolarski, mówiąc, masz, w związku z czym wybuchła awantura. To mi się bardzo spodobało, tym bardziej, że pani Janka ma zdolności aktorskie i wszystko dokładnie przedstawiała.

Ale najwięcej czasu spędziłam na czytaniu książek. W tym celu wychodziłam z kocem do ogrodu albo do parku i ciotka denerwowała się, nie mogąc mnie od tego zajęcia oderwać. Raz, z powodu czytania, nie chciałam pójść z ciotką w odwiedzinę i dopiero wujek złagodził sprawę. Ciotka nie idzie z postępowaniem czasu, wraca tylko do przeszłości i np. nie lubi piosenek z repertuaru Dalidy, Mariniego i Robertina Loretty; najgorsze, że się nie da przekonać. Co do książek to mniej i nawet każe sobie opowiadać. Przeczytałam „Pamiętnik Dawidka Rubinowicza”, „Wyprawę Kon-Tiki” oraz „Ogniem i mieczem” Sienkiewicza. Bardzo mi odpowiadały książki Henryka Sienkiewicza, napisane pięknym literackim językiem, ponieważ są jak najlepszy film. W ostatnie dni zaczęłam czytać pierwszy tom „Potopu”, ale gdy zaczęła się robić ciemno, chcąc nie chcąc, musiałam odkładać książkę i iść spać. Zmrok nie przeszkodziłby mi w czytaniu, gdyby nie to, że nie było światła: w całym miasteczku zakładali nowe słupy elektryczne, wymieniali drewniane na betonowe.

„Ponadto obchodziliśmy imieniny. Dzień był pochmurny i padało. Mama zapomniała o moim święcie, Edek również, bo prezent, który dostałam po egzaminie, to jeszcze nie wszystko. Jedną pani Wisia, moja przyjaciółka z Rzeszowa, nie zapomniała o mnie. Od ciotki dostałam czekoladki.

Potem już szybko zleciały pozostałe dni. W tym roku wakacje były zwyczajne, ale miło mi je wspominać. Początkowo ciągle mi czegoś brakowało, nie wiedziałam czego, ale teraz wiem — muzyki. Ten głośnik u ciotki często milczał, a ja jestem przyzwyczajona do muzyki. Chciałabym w przyszłości pisać książki o muzyce.

## ODWIEDZINY u Romana Turka

(Dokończenie ze str. 5)

wał kontynuacji tego autobiograficznego cyklu?

— Tak, chociaż obawiam się, że mi się to nie uda. Ale obawiałem się i przy pracy nad pierwszą i drugą książką... Jak się tylko trochę ciepłej zrobi, to zacznę. No a jak zacznę i pójdzie, to trzecia część będzie skończona w tym roku.

Długo jeszcze rozmawiam z gospodarzem, który jest człowiekiem pogodnym, towarzyskim, potrafi zajmować gawędzić.

Gdy wychydzę na niewielkie podwórko rzucił mi się w oczy gruby mur, kryjący zabudowania wytwórni PMS, w której przez kilkadziesiąt lat pracował autor „Mojej Mamy”. Po drugiej stronie szopy parterowe, przypominające wieś domki, kępy drzew i pola. Na wzgórzu rysują się kontury Łańcuta przypominając, że idę periferijną dzielnicą o dźwięcznej nazwie Podzielnicy.

Zbigniew Wawszczak

ków z ogólnej liczby mieszkańców, gdy średnia ogólnopolska waha się w granicach 15%!

Zasadniczym magnesem przyciągającym ludzi do miejscowości letniskowych jest obecność zbiornika wodnego — rzeki, stawu czy jeziora. W Supraślu można się oczywiście wykąpać, mimo że rzeczka jest wąska i zaniedbana oraz otoczona groźnymi napisami „Kąpiel wzbroniona”, czy ostrzeżeniami Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej przed kąpielą w zanieczyszczonej wodzie.

Czy kąpiel w brudnej i nieprzygotowanej rzece nie mija się jednak z celem?! Wskazane jest, aby PMRN zastanowiło się nad tą sprawą i przez okres jesieni, zimy i wiosny „wymyśliło” sensowne posunięcia.

Tak właśnie przedstawiło mi się miasto Supraśl, w którym mieszka i uczy się młodzież Technikum Mechanizacji Rolnictwa, Państwowego Liceum Techniki Plastycznej i dwuletniej Zasadniczej Szkoły Ogrodniczej, miasto letniskowe o możliwościach nie wykorzystanych.

Na zakończenie chciałbym opowiedzieć o młodych ludziach, których spotkałem w Supraślu, a którzy wykonywali pracę mądrą, pożyteczną

i wyczerpującą, a przy tym... społeczną!

Mieszkał w Liceum Techniki Plastycznej — dorodni chłopcy i nadzwyczaj piękne dziewczęta, a przewodził im naczelnik W. Millati, przedstawiciel Zarządu Szkół Artystycznych Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Przyjęto reportera serdecznie, opowiedziano o pracy i pokazano jej rezultaty podkreślając pięcioletnią już tradycję podobnych obozów pracy społecznej na niwie kultury, organizowanych przez KC ZMS i Zarząd Szkół Artystycznych Ministerstwa Kultury i Sztuki.

W tegorocznym obozie brali udział studenci wyższych szkół artystycznych — teatralnych, filmowej i plastycznych z Warszawy, Łodzi, Poznania i Wrocławia.

Założeniem obozu w Supraślu była praca kulturalna dla środowiska, a w praktyce wyglądało to w ten sposób: podróż chuchającym autobusem do wybranej wsi lub miasteczka i przedstawienie (śpiew, muzyka, recytacje i dowcip), poprzedzone własnoręcznym przydzwigananiem fortepianu i przygotowaniem sali, władze bowiem poszczególne miejscowości traktowały zespół jako zło konieczne,

tym bardziej że (wariaci!) nie brali pieniędzy za występy. A że ludziska tłumnie walili drzwiami i oknami (dosłownie!), to rzecz niewytłumaczalna!

Program imprez odpowiednio dobrany do poziomu słuchaczy nie zawsze był przyjmowany zgodnie z intencjami. W jednej z wiosek dowcip wzbudził umiarkowaną wesołość dopiero w trakcie następnego numeru czy przerwy. Zdarzała się jednak publiczność niezwykle wrażliwa, jak to miało miejsce w jednostce wojskowej w Hajnowce i białostockich „Fastach”.

Studenti, z którymi rozmawiałem, a więc: Nina Skołuba ze Szkoły Teatralnej z Krakowa, Alina Zydróż i Wojciech Leszczy z Łódzkiej Szkoły Filmowej potwierdzali celowość pracy, o ile nada jej się charakter trwały, pozbawiony przypadkowości i włączy zespoły profesjonalne. Tylko kto z „zawodowców” chciałby występować bez wynagrodzenia?!

Opuszczaliśmy Supraśl myśląc o współczesnych Judymach poświęcających wakacje dla ludzi wsi i zapadłych miasteczek, pracujących bez rozgłosu i chyba skutecznie.



Niektóre rzeczowniki nie mają zdrobnień. Między innymi — gramatycznie — nie zdrobnia się „narady”. Choć w tym wypadku rzecz dopominałaby się o „verbum diminutivum”. Narada nie wszystkich powiatowych pracowników kultury. Nie wszystkich dodatkowo, bo co najmniej połowa z zaproszonych nie przybyła. Jest w sam raz tyle, by kilka złączonych stolików nie stało się *Familienblättern*, by — z drugiej strony — uniknąć zebraniowego konwensu i słów ze sztynnikami. Właśnie w takich okolicznościach zwykle zdarza się jakaś sprawa nie za bardzo na temat, ale podniesiona żywym zainteresowaniem mówiącego. Pod koniec, kiedy mechanicznie zebrana grupa zaczyna odczuwać załamek więzi towarzyskiej i obniża się wyczerpany wielogłosem tematyczny diapazon.

Tak więc w problemy domów kultury, w trudności finansowe, w cykl artykułów z „Polityki” wdarł się ten staruszek-emeryt. W kontekście poprzedniej bezosobowości coś z atmosfery „*ecco homo*”. Mówi jego następcą na powiatowej placówce. Ze siedemdziesiąt pięć lat, że piętnaście w tej pracy, że odejście takiego człowieka nie kwituje nawet najmniejszy dyplom, a należałoby coś nie tylko ze względu na samego przygnębionego, ale honor i prestiż zawodu. Następuje mała retrospekcja u zebranych pod kątem pracowitości i wmawianych dziwactw staruszka. Obecny jest kierownik wojewódzkiego wydziału, poza tym sprawa jest raczej oczywista, w sumie — rozprasza się chmura „niemożności” zawisła nad zadośćuczynieniem odchodzącemu. Także następcza się konterfekcik w gazecie. Nie w zbyt grubych ramkach, bo życie samo jeszcze tematu nie zamknęło, ale rys człowieka i jego ślad na drodze.

Człowieka i ślad zapisują w zawodnym kalendarzu przewidywania. Ież to reporterskich „trzeba” przekształciło się w „nigdy”!

Ala oto rzecz sama zadbała o siebie. Po kilku dniach na moim biurku złożony we czworo afisz. („Szybki jednak ten następcza”). Afisz oznajmia wieczór estradowy w powiatowym domu kultury na pożegnanie odchodzącego kierownika.

Jadę. Jak to będzie z tym wieczorem pożegnalnym? Jak będzie. Najpierw facet na proscenium przed kurtyną, że to wszystko na cześć naszego jubilata, który. Później trochę instrumentów, liryczny powój wokół mikrofonu, poezjazz. Jeśli brawo, to nie dlatego, że się podoba staruszkowi, który — ale dlatego, że się podoba. Przy końcu lekki uścisk pod łokciem, że właśnie z tej okazji pozwoliliśmy sobie na małe (tu szepot będzie na tyle dyskretny, by się roztopić w szurgocie krzesel) i mamy nadzieję, że. Niesosyt. Wyrażni niedosyt. Czy dlatego, że jubileuszowy wieczór, który pod każdym względem powinien błyszczeć, odsłonił jednak tu i ówdzie fragment nie najszlachetniejszej, małomiasteczkowej substancji? Nie. Dlatego, że pokwitowanie człowieka okaże się w końcu tak żałośnie proste. Jakby ludzki los dało się wyciąć nożyczkami.

Podbiega miasteczko. Przedwiosenny zmierzch wplątuje się w niebogata architekturę. Rzadkie światła ostaniają prowincjonalny niedostatek. Tę właściwość ma jeszcze tylko bez i śnieg. Mineliśmy pierwsze budynki, lepiej od razu zyskać orientację topograficzną, niż później wyplątywać się z sieci blachy uliczk. Przechodzi kobieta, z samochodu uchylam drzwi i kapelusza. Jedno drugiemu przeszkadza. Pytam o dom kultury i w odpowiedzi mam przede wszystkim uśmiech (kobiety każdą sprawę traktują na płaszczyźnie towarzyskiej). Okazuje się, żeśmy ów dom „przejechali”. Masz ci los. A jeszcze nie zdążyliśmy na dobre znaleźć się w mieście. Z powrotem przed drewniak, który mineliśmy zmyleni brakiem oblegających tłumów.

Wejście wprost z podróży do pokoju, w którym znajduje się zasiedziałe grono, zawsze następcza trudność. Albo od razu wkraczasz z ważnością sprawy lansując ją na pierwsze miejsce ogólnej uwagi, albo strugasz skromnością, który chciałby się wcisnąć w tok nieznanego ci programu.

Coś tu za spokojnie, jak na moment przedimprowanej gorączki. Następcza zamiast działać — urzęduje. W pierwszym momencie zaskoczenie, że nie spotykam go w przełocie od kulis do służby porządkowej, w drugim — kawa na lawie. Ze przeprasza, że nawalilo, że w ostatniej chwili musiał odwołać.

Był w Lublinie, nie mógł przez to dopilnować rozprowadzenia biletów, przez co powstał podwójny szkopuł: brak pieniędzy na opłacenie artystów i niska frekwencja na tak ważnej imprezie. Nie polapał tych srok. „Moja wina”.

*Culpe culpa*, ale dziennikarz coś ze sobą musi zrobić. Coś, bo przecież zawodowa pragmatyka wymaga stanowiska w każdym wypadku, a poza tym zwykle „do widzenia” byłoby teraz pogłębieniem depresji i tak już zafrasowanego następcę. Więc może do emeryta — ujrzyć, usłyszeć, stwierdzić?

Robimy „te kilka kroków” samochoodem. Klepski plotek. Krzywa furteczka. Następcza znika, później we dwóch wychodzą. W gronie poszerzonym o niedoszłego jubilata...

Zaglądam mu do środka. Jakie uczucie? Na pewno jakaś wypadkowa, czy konglomerat kilku. Pierwsze: oto jestem rzeczywiście wybrakowany koń, który już nie zainteresuje żadnego woźnicy, może — garbarza. Drugie: dobrze, za moją starość, za niespełnione marzenia — wstydzicie się teraz, że jestem pokrzywdzony. Trzecie: właściwie w jakimś stopniu jestem współsprawcą całego kłopotu, którego by nie było, gdyby niczego nie zamierzano, a zamierzano ze względu na mnie.

W gronie poszerzonym o niedoszłego jubilata jedziemy na „wizję lokalną” piętnastu lat jego pracy w powiatowym domu kultury. Oczywiście to rozpoznanie dla całości jest potrzebne, ale wobec zaszyłych, a raczej nie zaszyłych faktów, wygląda na jakąś czynność kompensacyjną.

Dom jest przerebobioną czyszczalnią nasion. W miejscach nie przeznaczonych dla oka jeszcze pozostałości bełek, które podtrzymują strop. Dawny kierownik zakamufłował to wszystko sztuką wnetrzarską limitowaną stanem fundusów. Rura od piecyka pełni równocześnie obowiązki pnia w namalowanym na całą ścianę pejzażu leśnym. Sala jest z „arkadami”, ponieważ owe pochyle belki należało obudować dyktak, by powstałe stąd „filary” mogły zabiegać o własną funkcjonalność. Ale o cóż wreszcie chodzi. Scena jest „fosa” na orkiestrę jest, kulisy są — podaż piosenki, wiersza, rytmu umożliwiona

w stopniu przecież nie rażącym dysproporcją z potrzebami kilkunastotysięcznego miasta. Popatrzmy, co często jeszcze uchodzi za „obiekty” po różnych „ówkach” i „esiach”.

Czy stary kierownik ma coś z Chaplina? Sposób bycia, jakby trochę bez wiary przystępował do nadmiaru prac, którym nie wiadomo, czy podola, ale których zaniechanie jest niemożliwe.

Przyszedł ze Skarżyska. To znaczy został wzięty. Wzięty i na tym koniec. Jakby sprowadzająca go władza powiatowa tym wypełniła całe swe „kulturalno-oświatowe” zadanie. Resztę musiał wywalczyć przeciw niej. Te właśnie starania o płyty pilśniowe, fundusze, przebudowy nazywa walką. Dokuczał pomysłami, potrzebami, obrazem rzeczywistości. I wydokuczał w końcu te sale, w której widnieją dowody jego malarskiej i dekoratorskiej żyłki.

Chodzimy. Za kulisami, po garderobach, pod pokładem estrady. W tym błędzeniu po kątach tkwi analogia z sytuacją, w jakiej znaleźliśmy się wobec gospodarza: zamiast uczestniczyć w jubileuszu zwiędzamy zakamarki życiorysu. Zamiast piętnastolecia — piętnaście lat.

Jeszcze w trzech, w pokoju, po odejściu „sil biurowych” ostatnie papiersy. Kierownikowi należy się trochę czasu na gorzkie żale *pro domo sua*. Ale, ale, rzecz zaczyna nabierać całkiem nowych wymiarów. Zdaje się, że dopiero teraz rodzi się jakaś istota sprawy. Problem: nowy kierownik, a stare środowisko

— Wie pan, ja pod tymi papierami mam nóż. Kuchenny, ale wie pan po co? W celach samoobrony. Całkiem po prostu. Różne rzeczy się działy i muszą być na wszystko przygotowane. Jest tu takich trzech. Uważają, że dom kultury to przedłużenie knajpy. Kiedyś po zakończeniu telewizji jeden z nich odezwał, aż wszyscy wyjdą i zaczął wychodzić sam. Z fantazją. Wychodząc wziął z tej szafki nową płytę i bez słów

wa o podłogę. Podskoczyłem i mówię: „Wystarczy mi teraz pójsz na militej”. A zaraz wrócisz tam, gdzie byłeś”. Przetętnowolny zwolniony z wzięcia. „Ale nie zrobię tego. Nie dlatego, że bym się ciebie bał. Ale tu na tym miejscu ma być nowa płyta. Jeżeli nie — wiesz jaki dalszy ciąg”. Nic nie powiedział, wyszedł. Za kilka dni miałem nową płytę. Możliwe, że podzielił ją chojracki honor, którego się i we mnie dopatrył. Ale w dalszym ciągu nie mogę narzekać na brak rozrywek. Chwilowe zawieszenie broni nie przekształciło się w trwały rozejm. Każdego wieczora „obstawiają” ten dom chcąc zademonstrować swoją władzę i napędzić mi stracha. Różne cwaniackie gesty, różne wstawiania nóg, kiedy zamykam drzwi, dobijania się po pijanemu nocami do okien. Tak, nocami, bo przez kilka nocy naprawiałem zepsute telewizor. Wziąłem go wreszcie do domu. To wie pan co? Zarzuty w tym sensie, że jak mogłem rozporządzić się społeczną własnością. Nie — że tydzień telewizor stał bezczynny, nie — że przy nim bezpłatnie naspracowałem, nie — że teraz mają co oglądać, ale — jak mogłem. Niechby do dziś stał zepsuty. Wtedy by mieli śpiewkę, że nieudolny kierownik. I tak w kółko. Nie wiem, czego ode mnie chcą. Zaczęłam szukać oparcia w powiatowej radzie, w komisji, nie w sensie chowania się za fartuszek mamy, ale żeby jakoś doprowadzić do zmiany atmosfery. Wtedy zarobiłem na przydomku „elastyczny”. Ty, elastyczny, wkup się” — usłyszałem raz przy okazji jakiejś małej nieoficjalności w pewnym gronie. Skoczyłem po flaszkę wina. Ale była to nie towarzyska zachęta, tylko uszczupliwy przytyk do mojej izolacji. A cóż na to poradzę, że jestem tu od niedawna. Taki mały szczegół. Warunki pracy gwarantują mi 1400 zł miesięcznie. Ale w budżecie mają na razie tylko 1200, ponieważ poprzednio byłem instruktorem. Żeby wyrównać różnicę, która mi się prawnie należy, wypłaca mi się ją jako wynagrodzenie za pracę zleconą. No, mam przecież żonę i dziecko. To podniósł się huczek, że organizuję sobie fikcyjne podstawy do wypłat. Z tego, że się nie udało dzisiaj impreza, wielu ludzi zaciera ręce. Niech będzie. Osta-

(Dokończenie na str. 11)

(Dokończenie ze str. 1)

ruchu kulturalnego, który jest autentyczną siłą w rozwoju kulturalnym Polski terenowej.

A tymczasem w wielu jeszcze powiatach — a zdarza się, że nie tylko powiatach — odpowiednie władze zapominają, że jest taka siła społeczna. Nie wszędzie panuje jeszcze, niestety, zgodność co do perspektyw rozwojowych społecznego ruchu, jego faktycznej i potencjalnej rangi, wreszcie zakresu oddziaływania. Tam, gdzie nierozsądna władza terenowa uważa społeczny ruch za zjawisko niepotrzebne, rezultaty upowszechniania kultury są o wiele skromniejsze, niż np. możliwości materialne określonego regionu. Weźmy choćby pod uwagę województwo lubelskie jako całość. Okaże się, że te powiaty, w których działa społeczny ruch kulturalny, poszczycić się mogą znacznie efektywniejszymi i zarazem efektywniejszymi rezultatami w pracy niż te, gdzie o społecznym ruchu zgoła nie słyszano. Wiele kłopotów województwa białostockiego związanych z upowszechnianiem kultury wynika z tego właśnie, że nie może tam od lat rozwinąć się społeczny ruch kulturalny.

Nie może się rozwinąć nie tylko zresztą w powiatach. Bo proszę: przed kilkoma laty powstało w Białymstoku Towarzystwo Miłośników Ziemi Białostockiej. Ludzie, którzy się w nim zgrupowali, byli pełni nadziei, przede wszystkim zaś chcieli coś sensownego zrobić. Ale nie zdążyli nawet zasadzić w mieście kwiatów. Wcześniej sami zwiędli. Więc powstała luka. Tę lukę postaralo się wypełnić olsztyńskie „Pojezierze”. Trochę się temu dziwno, bo gdzie Rzym, gdzie Krym, ale w końcu kontakty Olsztyna z Białymstokiem są dość ścisłe od lat i ze względu na Elk — Goldap — Olecko administracyjnie należące do województwa białostockiego, regionalnie zaś łągące ku Mazurom, i dlatego także, że wielu mieszkańców Olsztyna pochodzi z Białostoczczyzny. Ale białostocki oddział „Pojezierza” niewiele zdołał zdziałać. Zabrakło w tym mieście właściwego klimatu dla społecznego ruchu kulturalnego, nie mieszczącego się w łatwych schematach instytucjonalnych. Jeszcze raz zabrakło! To zresztą słuszne, że „Pojezierze” postanowiło skupić się na pracy we własnym woje-

wództwie, gdzie — mimo konkretnych sukcesów i tego stowarzyszenia, i innych środowisk i ośrodków — jest tak wiele jeszcze do zrobienia w zakresie upowszechniania kultury, zwłaszcza w odległych powiatach. W Białymstoku zaś spulchniła się ziemia, w którą zostało rzucone społeczne ziarno. Na tej glebie powstało przed niejakim czasem znowu Towarzystwo Miłośników Ziemi Białostockiej. Trzeba mu żyć pomysłowości. Na razie bowiem cicho jak o sukcesach, mimo iż trwa — ba wróćcie już się kończy — Rok Ziemi Białostockiej, w którym miejscowe czynniki nie znalazły odpowiednich zadań dla społecznego ruchu kulturalnego.

## O SPOŁECZNY STOSUNEK DO SPOŁECZNEGO RUCHU

Powiadamy: społeczny ruch kulturalny to rezultat dobrze pojętej decentralizacji. Nie słuszniejszego! Ale to nie znaczy bynajmniej, że nie tu już nie mają do powiedzenia władze zwierzchnie. Zwłaszcza, że nie wszędzie decentralizacja pojmowana jest w terenie właściwie, to znaczy jako rozwijanie skrzydeł. Stąd tu i ówdzie społeczny ruch kulturalny ma tak bardzo utrudniony żywot. Zdarza się ciągle jeszcze, że władze terenowe — np. w niektórych powiatach województwa kieleckiego, a również w województwie olsztyńskim, gdzie nawet nie może tu być pomocny przykład „Pojezierza” — wykorzystują swoje rozszerzone kompetencje dla niefrasobliwego przekreślenia społecznych inicjatyw.

Owe kompetencje rozszerzyła decentralizacja. To prawda. Ale przecież nie chodzi w niej bynajmniej o rozwój terenowych urzędów, lecz o rozwój samego terenu, o podnoszenie jego rangi kulturalnej. To są już dziś truizmy. Tym bardziej przykro, że nie

wszędzie rozumiane i przestrzegane. Właśnie w takich wypadkach winny ingerować władze zwierzchnie, nie zaś odpowiadać terenowym działaczom, że „jest decentralizacja, więc teren sam winien decydować”. Taka ingerencja służyłaby dobrze pojętej decentralizacji. W województwie olsztyńskim — powróćmy raz jeszcze do tego przykładu — czynne jest „Pojezierze”, ale równocześnie w szeregu powiatów ruch społeczny nie rozwinął jakoś skrzydeł. W Prezydium WRN mówią o tym: „terenowe rady narodowe nie doceniają tego zagadnienia, niestety”. No tak. Ale i wojewódzka rada nie docenia, niestety, bo się nie dobrała do skóry niedoceniających rad terenowych. Przeszkodziła ponoć decentralizacja, zwiększone uprawnienia owych terenowych komórek. Bzdura, jakiej świat nie widział.

Najwyższy czas — właśnie obecnie u progu rozpoczynającego się nowego sezonu pracy kulturalnej — byśmy powiedzieli, komu trzeba: społeczny ruch kulturalny, który stał się podstawą naszej działalności upowszechnieniowej, musi być wszędzie otoczony troskliwą i taktowną opieką miejscowych władz. Jako zjawisko par excellence eksperymentalne wymaga on tego, by stał się przedmiotem nieustannych analiz. To pod adresem odpowiednich ośrodków naukowych badających przemiany dokonujące się w społeczeństwie w wyniku recepcji dóbr kulturalnych. Dotychczas nie właściwie nie wiadomo o pomocy merytorycznej ruchowi społecznemu ze strony tych ośrodków. A tymczasem społeczny ruch kulturalny jest złożony — i to zarówno w swojej warstwie psychologicznej jak i pod względem propozycji, jakie stawia szerszym warstwom odbiorców kultury. Wiedzę o tym winno się w odpowiednich komórkach gromadzić i upowszechniać, oceniać i proponować społeczności. Rzecz w tym, że społeczny ruch kulturalny działa nie na zasadzie jakiejś federacji czy stowarzyszenia towarzystw. Wrecz przeciwnie: towarzystwa pracują zupełnie niezależnie. To oczywiście bardzo dobrze, gdyż właśnie dzięki temu każde z nich może zajmować się wyłącznie tym, co dla danego środowiska jest najpotrzebniejsze.

Bolesław Bartoszewicz



Z ENKA Chuligana nalali u Berensa młodsi koledy — autochtoni i to był jedyny w tym roku na terenie Kazimierza poważniejszy incydent, na który przypadkowy wczoraj nie zwrócił nawet uwagi. Jedyni starszy bywalcy nie mogli opętać się od smutnej refleksji. — Niedobrze się dzieje w mieście, skoro nawet Zenka bija...!

Zenek był dotąd uważany nieomal za instytucję gwarantującą spokój i bezpieczeństwo, przynajmniej jego znajomym, którzy zjeżdżali do Kazimierza w celach niekoniecznie wycieczkowo-zapaśniczych. Wystarczyło „znać Zenka”, a miało się w pewnych sferach młodzieżowych zapewnioną nieetykalność osobistą przez całe wakacje. Ale Zenek wolał ostatnio pracować na łaczu telewizyjnym...

Przykład Zenka służy za dowód, jak nawet chwilowe spoczęcie na laurach, brak ciągłej samokontroli i stałego doskonalenia może niepostrzeżenie doprowadzić do ogólnego krachu.

A Kazimierz? Pozornie idealne warunki. Piękna pogoda, wyjątkowo niski stan Wisły, ciągnące się kilometry

cumque wyniosł około dziesięćdziesiąt złotych) bosonogi kelner i właściciel lokalu w jednej osobie tłumaczył z rozbrajającym uśmiechem: — „Ale za to koniaczku nie zamawiano i nie wliczano, wina nie zamawiano i nie wliczano...” itd... I człowiek płaci zadowolony, bo przy sąsiednim stoliku siedzi ktoś, kto nieopatrznie zamówił cyranke.

Tyle o gastronomii. Co będzie dalej? Być może, że w najbliższej przyszłości Kazimierz stanie się znowu miejscem ściągającym liczne rzesze turystów, tym razem zagranicznych, przyjeżdżających specjalnie po to, żeby obejrzeć na rynku i w jego najbliższej okolicy tłumy koczujących, półnagich postaci, gotujących nad ogniskami lichą strawę...

Ojcom grodu pozostanie wtedy tylko postawienie w wjazd do miasta dużej reklamowej tablicy: „Visitez Kazimierz — miasto z epoki kamiennej”. Jak bowiem wiadomo, w Kazimierzu istnieją kamieniołomy.

#### Mieszkania

Kto nie może mieszkać w SARPIE, a nie chce korzystać z 40-osobowych pomieszczeń w Domu PTTK, musi się

## „Czar Kazimierza” MIROSLAW DERECKI

mi płaszczyste lachy, wąwozy nareszcie bez błota, na Albertówce obfitość jagód i grzybów, wreszcie samo miasteczko, schłodzone, wybrukowane, wyłane asfaltem i... zupełnie puste. Nagle zabrakło letników.

Smutny ten fakt skwapliwie odnotowała w swoim czasie prasa codzienna, przechodząca jednak dość pobieżnie nad istotnymi przyczynami „upadku Kazimierza” i „nieudanego sezonu”. Po sezonie warto się zastanowić, dlaczego czasowicie zmieniali często w ostatniej chwili wakacyjne plany, a miasto i jego mieszkańcy stracili grube tysiące złotych włożone w przygotowanie do sezonu, nie mówiąc już o spodziewanych zyskach.

Z wielu przyczyn chyba trzy wysuwają się na pierwszy plan: gastronomia, drożyzna lokalowa i komunikacja.

#### Gastronomia

Pomimo kilkudziesięcioletniej już sławy Kazimierza, jako zawsze modne, tłumnie uczęszczane miejscowości wczasowej, w mieście istnieją tylko dwie placówki zbiorowego żywienia. Restauracja „Esterka” i bar mleczny „Miś”. Jak na miejscowość, do której zwala się co miesiąc kilka tysięcy osób — podejrzanie mało. Zle zaplecze kuchenne, niewielka ilość personelu powodują, że „u Berensa” ludzie czekają godzinami na wolny stolik, a w barze mlecznym formują się kilometrowe kolejki. W dodatku w „Esterce” trzy razy w tygodniu odbywa się dancing. W tych dniach od godziny 18 (a często już od 17.30) obowiązują karty konsumpcyjne w cenie 30 zł od osoby, natomiast bar mleczny czynny jest tylko do godz. 18, ponieważ personelu pracującego w sezonie po dwanaście godzin na dobę, to jest od 6 rano, na więcej już nie stać, a dyrekcji Barów Mlecznych w Lublinie nie stać podobno z kolei na zwiększenie ilości etatów i przedłużenie czasu otwarcia. Koło się zamyka!

Siłą rzeczy po powrocie z plaży nie można już zjeść ani późnego obiadu, ani wczesnej kolacji.

Pomysł wybudowania kilku tanich letnich pawilonów gastronomicznych, które rozwiązałyby sytuację i (o dziwo) przyniosłyby zyski, nie trafia widocznie do świadomości ojców miasta ani do instytucji, którym podlegają zakłady zbiorowego żywienia.

Oczywiście istnieją jeszcze w Kazimierzu inne miejsca, w których zapokoją się głód. Obok przystani kajakowej postawiono pawilonik gastronomiczny, w którym można się napić oranżady, wina i piwa, a także zjeść bigos, ewentualnie „odgrzewaną puszkę gulaszu”. Na ulicy Lubelskiej prosperuje bar „Pod Jeleniem” — wódka, piwo, ogórki kiszzone, wreszcie półtora km od Rynku Dom Wycieczkowy PTTK z doskonałą kuchnią i zastrzeżeniem: tylko dla wycieczek! Osoby postrońne mogą ubiegać się o prawo do posiłku dopiero po godzinie 17, jeżeli „coś” zostanie.

Zropaczonemu kandydatowi na konsumenta pozostaje jeszcze możliwość pójścia do restauracji „Swojskiej”, w której po zaplaceniu kolosalnego rachunku (np. za 5 porcji wątróbki, ra-

udać na poszukiwanie pokoju u prywatniarzy. Po 30 zł od łóżka dziennie. Hurtem za cały miesiąc wypada trochę taniej, bo przeciętnie tysiąc złotych za pokój. Cena niebagatelna, a w zestawieniu np. z Sopotem, w którym za 1300 złotych można wynająć całkiem niezłe locum, nabiera specjalnego smaczku. Ceny podskoczyły kilka lat temu w okresie wyjątkowo korzystnego sezonu. Pomimo mniejszej frekwencji w latach następnych, właściciele domków są nieugięci.

L... nieugięci miłośnicy uroków Kazimierza, niezrażeni wyrubowanymi cenami, gotowi byłiby płacić. A że jednak nie ściągają na wakacje? Być może czują rodzaj niesmaku, że pod koniec pobytu gospodarz domaga się dopłaty 7 zł 50 gr „za światło”, że często zabrania kategorycznie przychodzenia do domu po godzinie 23, że jak długa i szeroka ulica Krakowska, bez własnego samochodu ani przystap, bo właściciele willi w tej części miasta liczą się wzajemnie ilością letników posiadających auta.

„Jak się komu nie podoba, niech nie przyjeżdża. Był Kazimierz, będzie Kazimierz”.

I nie przyjeżdżają.

#### Komunikacja

Podstawą prawidłowego funkcjonowania miejscowości wczasowej jest dobra i wygodna komunikacja. W okresie letnim rozkład jazdy PKS jest więc w samym tylko Lublinie upstrzony cyframi oznaczającymi odjazdy autobusów do Kazimierza. Od szóstej rano do 19.30, przeciętnie co 2 godziny autobus.

Żeby jednak autobus dojechał do Kazimierza, musi wyjechać z Lublina, a w dodatku podróżny winien posiadać bilet. Tutaj zaczynają się kłopoty.

Pokrótce czynności związane z podróżą do Kazimierza przedstawiają się w sposób następujący: ponieważ kasa dworcowa PKS nie sprzedaje biletów, należy iść w nie zaopatrzyć poprzedniego dnia w „Orbisie”. W przeciwnym wypadku jest się skazanym na szturmowanie wraz z rozjuszonym tłumem spoconego konduktora u wejścia do samochodu (kiedy ma się bilet, wystarczy tylko przebieć się przez tłum, ponieważ nie jest w zwyczaju, aby posiadacze biletów orbisowskich wpuszczał drugimi drzwiami np. kierowca). Oto założenia teoretyczne. W praktyce, o oznaczonej godzinie autobus nie zjawia się. Po półgodzinnym oczekiwaniu podróżny udaje się do dyżurnego ruchu z prośbą o wyjaśnienie. Dyżurny ruchu wyjaśnia uprzejmie, że nie wie. Uprzejmie dodaje, że skąd ma wiedzieć, skoro autobusy, o których mowa, należą do ekspozytury w Puławach, a on reprezentuje ekspozyturę lubelską. Podróżny w sposób niegrzeczny pyta, czy nie można na przykład nawiązać stałej łączności telefonicznej pomiędzy ekspozyturami, żeby wiadomo było co i jak. Dyżurny uprzejmie wyjaśnia, że nie.

Można by pójść teraz na 2 godziny do kawiarni i tam zaciekać na następnego autobusu, jednak ten spóźniony może tymczasem nadejść... i odejść, a w takim wypadku spada się o klasę niżej, bo bilet nie wykorzystany traci ważność. Dojeżdżający stale do Kazimierza znaleźli jedyne możliwe wyjście — w ogóle nie korzystają z usług

# DWA KOMINY

(Dokończenie ze str. 1)

ta butelka lemoniady, a z trzeciego rzędu podniósł się młody, wysoki mężczyzna, Główny technolog.

— Dyrektor ma rację, można regenerować około 70 procent piasku. Ale całe urządzenie będzie kosztowało dziesięć milionów złotych. Niby zwrócić się w ciągu trzech lat, ale cały dowcip w tym, aby te dziesięć milionów mieć już teraz. Nie my jedni chcielibyśmy pieniędzy na inwestycje, w całym kraju zebraliby się pewnie wiele miliardów. Obradujemy tu po to, aby poprawić naszą gospodarkę tym, co już mamy.

No tak — łatwo dziś powiedzieć: mamy. Mamy wielką, nowoczesną fabrykę. Najwyżej co 40 minut z wiecznie poruszającej się taśmy montażowej zjeżdża już o własnych siłach nowiutki, zgrabny i pracowity jak żuk — „Zuk”. Kilkanaście tysięcy tych samochodów, zaprojektowanych przez lubelskich konstruktorów, jeździ po kraju, kilka tysięcy w innych krajach Europy i jeszcze dwóch częściach świata. A tak niedawno — równo 13 lat temu — ówczesny dyrektor fabryki prowadził pierwszą konferencję prasową na ławce Pl. Litewskiego. Fabryka poza nazwą, dyrektorem i planami nie miała do dyspozycji ani jednego metra kwadratowego pokoju. Kilka dni później było już lepiej. Dyrektorem administracyjnym został lublinianin i listy można było pisać w jego sypialni, z braku stołu trzymając maszynę do pisania na kolanach. Kilka miesięcy później prawdziwa rewolucja: Fabryka Samochodów Ciężarowych miała pierwszy własny samochód. Tym zaszczytnym mianem nazywano wehikuł, związany — niech to przejdzie do historii motoryzacji — drutami i kawałkami kopopnego sznurka. Związano w ten sposób części z różnych, wycofanych już z użytku typów samochodów, wygrzebanych przeważnie w zbiornicach złomu. Prychało to i dymilo, miało wieczną czkawkę lub katar, nie zawsze chciało zjeżdżać z góry, a prawie nigdy pod górę ul. Lubartowską. Pierwszą halę urządzano koło podziemnych zbiorników, w których najpierw okupant, a potem polski monopol przechowywał spirytus konsumpcyjny. Gdy po raz ostatni opróżniano zbiorniki, w jednym znalaziono doskonale zakonserwowane ciało kogoś, kto pewnie chciał we własnym zakresie zaopatrzyć się w ów spirytus. Na wszelki wypadek nie przeprowadzono sekcji, aby nie wiedzieć, jak długo ciało przebywało w tym spirytusie...

Kiedyś ta właśnie hala, nazywana główną, leżała na końcu fabryki. Dziś znalazła się na jej początku. Za nią wyrosły nowe, jeszcze większe hale. Chociażby taka kuźnia. Zmieściłoby się w niej całe boisko piłkarskie i zostaloby jeszcze miejsce na spore trybuny. Ludzie chodzą tu w kaskach jak górniczy. Kaski są kolorowe, zależnie od wykonywanej pracy i funkcji. Kilkadziesiąt potężnych młotów wali z wściekłością w stalowe podstawy, na które robotnicy szczykami podzuczają bezkształtne kawałki czasem rozpalonego do białości, czasem zimnego żelaza, stali, stopu. I nie wiem co bardziej podziwiać — zaciekłość wielotonowych młotów, które pracują tu bez wytchnienia całymi miesiącami — czy też ludzi, którzy niczym cyrkowi żonglerzy wywijają płonącymi od ognia sztabami metalu. Robi się tu m. in. tak zwane odkuwki. Przed kilku jeszcze laty cała Polska — przemysł, budownictwo, warsztaty remontowe — wielkim głosem i lawiną listów domagało się od Lublina: dajcie więcej odkuwek. Dziś...

PKS. Podróżują „na lebką” ciężarkówkami.

Ekspozytura PKS w Puławach tłumaczy istniejący stan rzeczy złą jakością posiadanych autobusów, brakiem odpowiedniej bazy remontowej, etc.

Na marginesie uwaga nie związana bezpośrednio z Kazimierzem. Na tej ruchliwej i usianej licznymi przystankami trasie wprowadzono autobusy, w których bilety sprzedaje kierowca. Pomysł w zasadzie dobry, ale w zgoła odmiennej sytuacji. Tutaj cała „innowacja” sprowadza się do „wypadania z rozkładu jazdy”, szarpania nerwów pa-

(Dokończenie na str. 12)

— Dziś z tą kuźnią nowe kłopoty — skarży się w samorządzie robotniczym młody inżynier, który w czasie, gdy budowano ten największy w swoim rodzaju obiekt w Polsce — dopiero przygotowywał się do matury. — Brakuje nam zamówień na dwaście dwa miliony złotych. Pewnie w grudniu będzie znowu alarm z kilkunastu fabryk: dawajcie nadprogramowe odkuwki. A może nie? Wobec tego proponuję, aby w każdej chwili być przygotowanym na podjęcie tej produkcji, ale teraz robie to, co już jest potrzebne innym fabrykom. Możemy więc wykonywać...

Lista jest długa i roi się od określeń nie znanych laikowi. Ale siedzący na sali inżynierowie, technicy, majstrowie, tokarze czy szlifierze wiedzą o co chodzi. Nim zaoprobują projekt w głosowaniu, jeszcze raz przeliczą. Jedni w głowie, inni na suwakach, pozostali w notesach lub na marginesach gazet, których jeszcze nie zdążyli przeczytać.

— Koledzy, wy tu wciąż o milionach — woła teraz z prowizorycznej trybuny zastępca głównego technologa — a to nie tajemnica, że miliony składają się z tysięcy. Mogę wam tu wymienić całą listę detali, do których nasi konstruktorzy żądają drogiej stali, bo tak jest w podręcznikach. A gwarantuję wam, że można ją zastąpić inną, znacznie tańszą stalą, pod każdym względem tak samo wartościową. Tylko jej nie wyrabiano jeszcze wtedy, gdy drukowały się te podręczniki. Jedynie na pięciu detalach, jak obliczyłem, zaoszczędzimy sześćdziesiąt siedem tysięcy złotych.

— Wybaczcie slogan, ale trzeba go przypomnieć: czas to pieniądz. Dlatego w sierpniu — irtujcie się szef montażu — wprawiano szyby do „Zuka” piętnaście minut, a nie trzy jak dawniej!

— Dlaczego nie robimy więcej matryc spiekowych? — oburza się robotnik z hali normalii. — Te zwykle nie trzymają wymiarów o kilka mikronów i są cztery razy mniej wytrzymałe...

— Zaopatrzenie chwali się, że zmniejszyło niepotrzebne zapasy materiałów do czwartej części. Prawda. Ale wciąż jeszcze leży tam beużytecznie sześć milionów złotych. Gdybyśmy to oddali na książeczkę PKO, byłoby rocznie trzysta tysięcy złotych — wylicza ktoś z resorowni...

Nad mównicą coraz to inna twarz. Przez okna z prawej strony widać, jak zapelnia się przyfabryczna kawiarnia. Przez okna z lewej kiedyś można było dojrzeć budynek zakładowego domu kultury. Dziś zastąpiło go osiedle mieszkaniowe, w którym przed kilku dniami oddano do użytku tysiąc dzieci jedną z najpiękniejszych szkół w Polsce — przy dużej pomocy materialnej załogi FSC. Jest już wieczór i w stronę domu kultury ciągnie coraz więcej zwolenników kina, użytkowników biblioteki, członków najroźniejszych zespołów. To ci z pierwszej i trzeciej zmiany. Druga jest teraz przy tokarkach, szlifierkach, młotach, suwnicach — taśma montażowa nie może stanąć ani na minutę, nie mogą stanąć taśmy w Warszawie i Starachowicach, Wrocławiu i Szczecinie czy wielu innych miastach, które czekają na części, wykonywane w lubelskiej FSC.

A w lubelskiej FSC, podobnie jak we wszystkich fabrykach kraju, Konferencja Samorządu Robotniczego z troską i nadzieją ustala program działania. FSC była jedną z tych fabryk, w których nawet ostra zima nie spowodowała żadnych strat. To oczywiście nie zasługa maszyn. Ale jeżeli jest dobrze, to czy nie może być jeszcze lepiej? Może gdzieś indziej, mimo najlepszej woli nie uda się odrobic zimowych strat? Dyrektor naczelny inż. Krupa przeciąga ręką po wychudłej ostatnio twarzy i wstaje:

— W imieniu zespołów analizujących naszą gospodarkę oraz zarządu fabryki, w uzgodnieniu z podstawową organizacją partyjną, radą zakładową i radą robotniczą, proponuję, abyśmy wykonali dodatkowo ponad plan... co łącznie przedstawia wartość ponad 120 milionów złotych. To wszystko przy najbardziej prawidłowym kształtowaniu się wskaźników ekonomicznych.

Jednomyślna zgoda jest wynikiem gospodarczego rachunku, jakiego w ciągu kilku tygodni dokonywała załoga. Konferencja Samorządu Robotniczego potwierdza tylko jej opinie.

Gdy wracamy do miasta, szeroka, oświetlona jarzeniówkami ulicą, w przyfabrycznym osiedlu gasną już światła. Ale coraz bardziej jaskrawa staje się luna nad fabryką. Gdzieś z prawej strony widać przysadzisty, wysoki piec elektrociepłowni. A daleko za nim ginie w mroku najbardziej straszliwy komin naszego wieku — krematorium na Majdanku. Dwa kominy — dwie epoki. Przedziela je szosa na Chełm, gdzie te epoki się rozdzieliły.

Jerzy Dostatni



# Pruszkowski i jego Kazimierz

STANISŁAW MICHALCZUK

ficznego fermentu artystycznego. Nie miejsce tu na konfrontowanie zalet i wad kulturalnej polityki tych czasów, nie sposób też wliczać niewątpliwych sukcesów polskich artystów z dwudziestolecia w kraju i świecie. Warto jednak naszkicować tło, w którym Pruszkowski realizował swój sprężony program artystyczny: przeciwstawienie się kierunkom tzw. izmów, stworzenie

pełnych pogody, mocnych fizycznie, radosne dziewczyny, portrety, z właściwą sobie brawurą, dbając o maestrię warsztatu. Osiągnięcia przekazywał uczniom, poświęcając się kilkunastoletniej pracy pedagoga (1922-39). Oni kontynuowali plany mistrza, on współpracował z nimi i razem w atmosferze niezwykle przyjazni tworzyli nowe oblicze sztuki polskiej. Sztukę traktowali ze skupioną powagą. Założyli „Bractwo św. Łukasza” (1925), nie mające zresztą nic wspólnego ze sztuką religijną, oparte na wzorach dawnych organizacji cechowo-rzemieślniczych. Jedynym ich celem było malować jak najlepiej. Chcieli stworzyć sztukę narodową bez obcych wpływów, — wzorów szukali wśród starych wielkich Wenecjan, Hiszpanów i Holendrów. Usiłowali malować zespołowo chcąc nadać jednolity charakter cyklowi wielkich obrazów historycznych z tysiącletnich dzieł państwa polskiego, przeznaczonych na Światową Wystawę w Nowym Jorku w roku 1939. Kilkunastu malarzy: m. in. B. Cybis, J. Gotard, J. Kubicki, A. Michalak, J. Wydra, J. Zamoyski, z mistrzem „Pruszczem” na czele, wystawiali swoje obrazy wielokrotnie w kraju i za granicą (Genewa, Rapperswil, Nowy Jork, Wenecja, Amsterdam).

Młodsze generacje uczniów organizowały się w grupy w programie bliższym współczesności. W roku 1929 powstał „Kolor”, w następnym roku „Szkoła Warszawska”, później „Łoża Wolnomalarska” przemieniona na „Łożę Malarską”.

Wszyscy, skupieni w czasie studiów i często po ich ukończeniu wokół swego mistrza, zdobywali fach malarski w Szkole Sztuk Pięknych, późniejszej Akademii, w Warszawie i na kazimierskim plenerze. Pruszkowski wywoził ich tam na całe lato. Od początku wakacji do późnej jesieni malowano pejzaże, typy regionalne i kompozycje tematyczne, organizowano wystawy i dyskutowano. Krajobraz i atmosfera miasteczka wyjątkowo nadawała się na studia plenerowe Szkoły Pruszkowskiego. Przenosząc je w roku 1923 z Kartuz na Pomorze do Kazimierza, znalazł Pruszkowski to, co było nader bliskie rodzimoci jego artystycznych poczynań. Nadwiślańskie miasteczko ledwie dźwigało się wtedy z wojennej pożogi, nie straciło jednak dawno odkrytego przez malarzy uroku, o którym w roku 1859 pisał A. Lerue — „Nie masz pewnie miasta w Królestwie, któreby w małym obrębie tyle gromadziło w sobie ciekawości... Z jednej strony góry bujną vegetacją okryte, z drugiej płynąca tuż pod miastem Wisła, w pośrodku z pomiędzy drzew wyglądające mury kamienne i opustoszone już dawnych spichlerzy zwaliska, panujące nad nimi wysokie dachy kościołów, wyżej nad tym jeszcze na najwyższym szczycie góry samotna

okrągła strażnica, wszystko to stanowi krajobraz godny pędzla najpierwszych malarzy...”

Plenery kazimierskie urozmaicone były pomysłowymi imprezami profesora. Wspominano jego akrobacyjne popisy na własnym samolocie nad wiślańską plażą, lub realizację filmu „Wesoły wisielec, czyli Kalifornia w Polsce”, w którym dekoracją był Kazimierz, a aktorami studenci. Film był podobno znakomity — scenariusz i zdjęcia robił sam Pruszkowski.

Centrum artystycznego życia uczniów była pracownia mistrza. Dwukondygnacyjny dom, wzniesiony możliwie najwyżej, by dało się zeń ogarnąć całą dolinę Wisły i miasteczko, pomysłowo został nie jako wygodna willa mającego profesora, ale jako miejsce pracy (piętro i taras) i towarzyskich, klubowych spotkań (sklepiony parter) liczącej grupy studentów i oddanego im pedagoga.

W pracowni na piętrze znalazłem się po raz pierwszy owej uroczystej niedzieli. Wraz z kilkudziesięcioma osobami starałem się stapać cicho, onieśmielony skromną dekoracją zastaniającą odpadające tynki, bukietami jesiennych kwiatów, starym gobelinem z mitologiczną sceną pożegnania Odyszeusza, kilkoma fotografiami malarza, który był obecny w tym gronie dwoma autoportretami. Pierwszy z połowy lat trzydziestych, z bukietem tulipanów, ukazywał spod szmaragdowych laserek twarz wesołą człowieka szczęśliwego, na drugim, ostatnim, z roku 1941, z małym bukietem drobnych różyczek, ginęła zlewająca się z szarokami odrealnionego tła, zastępyła w skupieniu maska, jaką nosimy w oczach, po osobach najdroższych, które na zawsze odeszły...

Nie musimy wracać do przeszłości, nikt nie może żądać od nas powrotu, zróbmy coś dla nas samych, dla najbliższych pokoleń, zanotujmy w jakiś sposób dzieje tworzonej przez nas kultury! Chodzi o Kazimierz, o jego sięgającą XVIII wieku tradycję miasteczka polskich malarzy — ile nazwisk, ile dzieł i zdarzeń, stylów i kierunków polskiej sztuki! O wyjątkowości Kazimierza w naszym krajowym asortymencie turystyczno-kulturalnym chyba nie trzeba przypominać. Warto się zastanowić, co chcieliby w Kazimierzu zobaczyć turyści, artyści, naukowcy. Może pokazać im właśnie jego historię. Aż się prosi, żeby w przeznaczony na muzeum kamienicy Celejowskiej zrekonstruować wnętrze domu siedemnastowiecznego patrycjusza, zamiast urządzania pod sztampę nudnych ekspozycji regionalnych: archeologia, etnografia, rzemiosło itd. Może nie wykorzystaną pracownię Pruszkowskiego, która już dostatecznie wrosła w miejscowy pejzaż, przeobrazić w muzeum zasłużonego malarza i jego uczniów? Chętnych i ofiarodawców nie powinno zabraknąć. Z przetrzeblonej wojną spuścizny Pruszkowskiego nalicyliśmy jeszcze 57 płócien!

Kazimierz ma się czym chwalić i my nie powinniśmy zepsuć jego wyjątkowej pozycji w kulturze polskiej.

W MUROWANIE tablicy pamiątkowej na domu-pracowni Tadeusza Pruszkowskiego w Kazimierzu było wyrazem pamięci okazanej zapomnianemu malarzowi przez jego uczniów. Po dwudziestu przeszło latach od chwili tragicznej śmierci wybitnego artysty i pedagoga, zasłużonego profesora i rektora warszawskich szkół artystycznych, inicjatora wielu przedsięwzięć w życiu kulturalnym dwudziestolecia międzywojennego, wielkiego przyjaciela młodzieży — złożono mu hołd lakonicznym a wymownym zdaniem wyrzytym na marmurowej płycie: — „W tym domu pracował Tadeusz Pruszkowski profesor i rektor Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, Obywatel Honorowy m. Kazimierza Dolnego, 15.IV.1858 — zamordowany przez hitlerowców 1.VIII.1942 r.”.



ODSLONIĘCIE TABLICY KU CZCI TADEUSZA PRUSZKOWSKIEGO W KAZIMIERZU

Przemawia art.-mal. Antoni Michalak

Uroczystość, która zgromadziła w południe wrześnie niedzieli (8.IX. br.) jego przyjaciół i uczniów-malarzy, dostojnych profesorów wyższych uczelni i twórców o znanych nazwiskach, obok znajomych i przygodnych mieszkańców miasteczka, minęła w nastroju prostych, szczerych przemówień, wyraziła się opowiadaniem wspomnień i składaniem kwiatów.

Nie znalazłem Tadeusza Pruszkowskiego — człowieka. Pamiętam go jako malarza ze wspomnień jednego z najbliższych mu uczniów, z paru oglądanych obrazów i wielu reprodukcji z książek i czasopism. Ale w trakcie odsłaniania płyty nie byłem obojętnym widzem, a tekst wyrzyt w kamieniu był dla mnie bardziej wyrazem pełnego szacunku wspomnienia, niż epitafium.

Działalność artystyczna Pruszkowskiego to kawał dzieł naszej sztuki w okresie dwudziestolecia między dwoma wojnami. Czasy nie tak odległe, a jakże już zapomniane! Chyba różnica dwóch pokoleń trzyma ten okres w niepamięci. Starym pozostał on w oczach, młodych wojna oderwała od przeszłości, a wywołanie wskazało przyszłość. Wspomnieniami częściej wracamy daleko wstecz niż do niedawnego wczoraj.

Próba odkrycia przedwojennej plastyki polskiej jest książką Mieczysława Wallisa — „Sztuka polska dwudziestolecia”, Warszawa 1959. Krytyk z „Robotnika” i „Wiadomości Literackich” zebrał dawne swoje recenzje, polemiki i artykuły, przypomniał fakty, wniósł dużo wiadomości, domagając się we wstępie nowego i szerszego spojrzenia na bogate życie artystyczne tego okresu.

Odzyskanie niepodległości po pierwszej wojnie światowej, ożywione kontakty z zagranicą: Paryż, Niemcy, Włochy, Holandia, zetknięcie się z rewolucyjną sztuką Związku Radzieckiego, mnogość kierunków i poszukiwań, — wytworzyły klimat wyjątkowo specy-

szuki popularnej, czytelnej dla przeciętnych odbiorców, opartej na rzetelnym warsztacie rzemieślniczym, monumentalnej, przeznaczonej dla odbiorcy-narodu, a nie wyrefinowanych i mieszczańskich „mecenatów”. W szkicowej syntezie, przy pominięciu różnych krótkotrwałych i prowincjonalnych grup artystycznych, wliczyć można trzy zasadnicze nurty w szerokim wachlarzu ówczesnych kierunków. Skrajnymi modernistami byli zorganizowani w roku 1917 krakowscy „formiści” z L. Chwistkiem, T. Czyżewskim, J. Hrynówskimi, braćmi A. i Z. Pronaszkami i St. I. Witkiewiczem. Ich linię kontynuowali formiści warszawscy, kubiści z „Bioku” i późniejsze jego odłamy, malarze bezprzedmiotowi z grupy „Praesens” i „a.r.”. Reprezentowali oni skrajną opozycję przeciw impresjonizmowi i naturalizmowi. Malarstwa tradycyjnego bronili najbardziej konserwatywni członkowie „Pro Arte”. Pozycję centralną stanowił „Rytm”, grupa niejednorodna i najbardziej popularna, zrzeszająca artystów celujących w poprawnej kompozycji, syntezie kształtu i barwy przy dbałości o walory dekoracyjne dzieła: — m. in. W. Skoczylas, W. Borowski, H. Kuna, Z. Stryjeńska, E. Zak, Sz. Kowarski i T. Pruszkowski. Niemal każda z grup wydawała własny periodyk, organizowała zbiorowe wystawy, ogłaszała manifesty i w imię dobra i przyszłości sztuki wiodła z przeciwnikami zacietę spory. Przynać trzeba, że nie przeskądzało to bynajmniej w ujawnianiu się nowych talentów i kształtowaniu dużej rangi indywidualności.

Jedną z nich był Tadeusz Pruszkowski, malarz o wielkiej skali zainteresowań, realizator śmiałych przedsięwzięć. Z pracowni Konrada Krzyżanowskiego wyniósł niedocenianą przez profesora chęć rzetelnego rzemiosła, a w Paryżu więcej czasu poświęcił na studiowanie dawnych mistrzów niż na kontakty z artystyczną awangardą. W sztuce pozostał sobą, malował ludzi

## DLACZEGO na ODPUŚCIE?

NIE miejmy złudzeń: tomik opowiadań J. Danielaka\* nie należy do literatury przez duże „L”. Złudzeń tego rodzaju (jestem przekonany) nie ma również sam autor. Dowodzi tego choćby wybór tytułu: dlaczego „Amerykanin” i dlaczego „na odpuszcie”? Ze niby ostatnie opowiadanie tak się nazywa? To jeszcze nie wszystko — utworek ten zresztą nie jest ani najlepszy, ani najbardziej typowy dla całego tomiku. Ale cóż, tytuł wabi, tytuł przyciąga, tytuł zachęca. „Opowiadania J. Danielaka” to brzmiało by przełożyć nijako. Podobnie rozumował wydawca pewnego młodego poety, który utwory swe jeszcze przed pierwszą wojną światową pragnął wydać pod prostym tytułem: Wiersze. „Panie — powiedział wydawca — kto to kupi. Daj pan coś atrakcyjniejszego”. Poeta pomyślał chwilę i napisał na zeszytach: „Obłok w spodniach”.

Oczywiście trudno przypuszczać, że tak miała się rzecz z opowiadaniem Danielaka. Po prostu uprzedzając niejako późniejsze zarzuty sam autor wyborem tytułu określił charakter książki: literatura nie bardzo na serio, literatura z przymrużeniem oka. Cóż, wolno Mróżkowi, wolno i Danielakowi, ostatecznie Galczyński napisał kiedyś: „Przepraszam, czy za te pare „kawałków” mam zaraz panu napisać „Księgi Narodu i Pielgrzymstwa?”.

Utwory zawarte w tomiku Danielaka są bardzo nierówne. Niestety, oprócz całkiem niezłych (jak np. „Kaja”, „Koniec bajki”, „Słoneczne mieszkanie” czy „List do Ciebie”) i zdecydowanie złych (jak np.

„Początek autobiorafii”, „Ostatnie światło” czy „Niedziela na Półkuli Północnej”), pozostałe opowiadania są nijakie, bezbardne i amemiczne. Pewna zaleta (w tym wypadku) tomiku jest prostota środków wyrazu. Język opowiadań jest oszczędny, nie przedławiany nadmierną ilością przenośni, porównań, opisów itp. Pewna powtarzalność się cechą budowy utworów jest występująca prawie wszędzie mniej lub bardziej wyraźna pointa. W kilku wypadkach stanowi ona najmocniejszy punkt opowiadania decydującego o jego wydźwięku stawia kropkę nad „i” — czasem zresztą dosyć nieoczekiwana, jak „w „Kaj”, czy w „Słonecznym mieszkaniu”.

Opowiadania Danielaka tkwią tematycznie w sferze codziennosci, która autor nubiże kilkakrotnie udziwnić („Koniec bajki”) czy odrealnić („Powrót do szkoły”, „Niedziela na Półkuli Północnej”). Dominująca cecha opowiadań jest występująca nieomal wszędzie autobiograficzność. Stawiam to zresztą raczej jako hipotezę, czy też osobiste odczucie narratora, być może przez częste narzeczanie autora „Ja”, a także dzięki (przezrazem autora) zgodności wygładu autora i behatera (opisanego w „Powrocie do szkoły”) jako Greek.

Właściwie czytając tomik byłem na autorze zły: w kilku wypadkach był just prawie o krok od napisania dobrego opowiadania, w paru innych miał dobre pomysły, niezłe ujęcia — ale w sumie dość niewielkie.

Danielaka nie trzeba oszczędzać, trzeba mu dobrać i to ostro, bo ostatecznie „Amerykanin na odpuszcie” to chyba nie wszystko, czego można od niego oczekiwać.

B. K.  
\* Jerzy Danielak: „Amerykanin na odpuszcie”, Wydawnictwo Lubelskie, 1960.



ALEKSANDER GABRUSIEWICZ

**Z**ONY wrócili do słomianych wodocieków żeby pozmywać stopy naczyn i uprzątnąć zaśmiecone podłogi, dzieci wrócili do szkół. Każdy dokądś wraca, bo lato stulecia zmusiło wcześniej do masowych ucieczek nad wody i w lasy. Teraz będą chwalić się, że stołce, że kajaki, że ryby...

Bardzo chciałbym posłuchać zwierzeń robotników z tych fabryk, które za punkt honoru przyjęły budowę osiedli campingowych. Ileż było z tego powodu radości! Cieszyli się dyrektorzy, zacierali ręce prezesi rad zakładowych, a ołówki referentów od spraw socjalnych stawały dumne fajki przy pozycji: wypoczynek załogi. Kolorowe domki stały się synonimem troski o robotnika. Lecz cóż opowie nam brygadzieta narzędziowi, ślusarz, operator dźwigu i tani robotnicy przemysłowi? Owszem, domki bardzo im się podobają. Szkoda jednak, że te uroczce obozowiska zna się tylko ze słyszenia. Ot, piękność co jest non consumpta.

Rachunek — prosty. Zamożny zakład buduje camping. Ile tych domków? Dwadzieścia, niech by trzydziści. W każdym cztery osoby, co czyni 120 obozowiczów. Pomnóżmy to przez cztery turnusy, a otrzymamy blisko 500 osób. To są liczby naszpikowane dobrą wolą, bo tak wielkie campingi należą do rzadkości. Pamiętajmy przy tym, że tutaj przyjeżdża się z rodziną, czyli w gruncie rzeczy takie obozowiska przyjmie w sezonie nie więcej niż 200 rzeczywistych pracowników fabryki. Jaki to procent załogi liczącej 4 lub 5 tysięcy ludzi? Więc nie dajmy się zwieść urokom domków. Podobnie jak moda damska nie może załatwić problemu emancypacji kobiet, tak i moda na osiedla campingowe nie zaspokaja potrzeb rekreacji wielkiej rzeszy załóg przemysłowych. Dlatego wybaczenie, iż mimo ofensywy fabrycznych campingów — niniejsze wybrzydzenie.

Referent jesień odkłada do teki akta lata, więc można by poszukać lepszego tematu do felietonu, ale kulistość czasu zakłada niechybny powrót tej samej pory roku za dni 365. Wtedy co, znowu campingi dla wybranych?

Mądrzy ludzie już dawno wymyślili co trzeba zrobić. Nazwali to niebyleż ładnie: masowy wypoczynek, albo wdzięczniej — wczasu w mieście. Recepta prosta. Bierze się kilka milionów złotych, poszerza na pewnej przestrzeni bieg malej rzeczki, np. Słunicy sączącej wody przez Kielce (dla Lublina ustawia Bystrycę, a dla Rzeszowa Wisłok) i na tak powstałym zalewie wytacza się kąpieliska, buduje kawiarnie, przystań itp. W przypadku obfitości inicjatyw instytucje organizują łańcuch czynów na rzecz zalewu. Tak powstają drogi dojazdowe, gromadzi się łodzie, kajaki, a nawet wyznaczają czerwone autobusy specjalnej linii, żeby wygodniej dojechać.

W Kielcach bardzo palono się do czegoś takiego. Pierwsza, zdawałoby się, najtrudniejsza formuła recepty okazała się właśnie najłatwiejsza, bo CRZZ dała 2 miliony złotych dotacji. Wszyscy byli za. I kto wie, może dlatego... projekt nie może doczekać się realizacji. Żeby choć pięć pojedynczych głosów warknęło że są przeciw. Wtedy resztę ogarnąłby sarmacki gniew, stuknęłyby młoty i zalew byłby już dawno całkowicie zagospodarowany. A tak organizatorów ogarnęła senność. Zresztą co im tam. Organizatorzy należą do aktywni, zaś aktywni może liczyć na miejsca w domkach campingowych. Aby do lata!

Jędrzej

**P**OD koniec sierpnia br. odbyło się posiedzenie Komisji Kultury przy Wojewódzkiej Radzie Narodowej w Białymstoku poświęcone zatwierdzeniu tegosezonowego repertuaru Teatru im. Węgierki. Komisji przedstawiono repertuar bardzo obszerny, ponieważ do chwili, kiedy to piszę (wrzesień), Zespół do spraw Teatru przy MKiS nie może się zdecydować, jak właściwie jest z tym sezonem teatralnym. Rok 63/64 miał początkowo być okresem przejściowym, tzn. sezon przedłużony miał być do końca kalendarzowego roku 1964, by następnie zrównać rok teatralny z rokiem budżetowym. Potem od tego odstąpiono, bo to zbyt wiele kłopotu i dla teatrów i dla czynników nadrzędnych.

W efekcie teatr białostocki przygotował zestaw sztuk do 31 grudnia 1964 r. Po długotrwałej, lecz owocnej dyskusji repertuar teatru wygląda następująco:

Na dużej scenie:  
F. Schiller — „Don Carlos”, G. B. Shaw — „Pigmaliion”; jakaś nie ustalona sztuka dla dzieci i młodzieży, Słowacki — „Kordian”, Z. Bystrzycki — „Krywe lustro”, W. Szeński — „Miarka za miarkę”, K. Chojński — „Nocna opowieść”, A. Fredro — „Nocny don Kichot”, lub inna komedia.

Od września przyszłego roku są w planie:

S. Zeromski — „Uciekla mi przepióreczka...”, M. Gogol — „Martwe dusze”, J. Iwaszkiewicz — „Lato w Nohant”.

Na małej scenie:  
H. Sidney — „Złoty sznur”, W. Katajewa — „Kwadratura koła”, J. P. Gawlik — „Pokusa”, J. Przędziecki — „Garść piasku”, D. Lessing — „Zabawa z tygrysem”, J. Strumiński — sztuka współczesna o nie ustalonym tytule.

Tak wygląda projekt repertuaru. W roku przyszłym przypada jubileusz dwudziestolecia Teatru im. A. Węgierki. We wrześniu 1944 r. ówczesny Teatr Miejski w Białymstoku wystąpił ze sztuką Zeromskiego „Uciekla mi przepióreczka...” stąd ta pozycja obecnie w repertuarze — niekny ukłon w stronę historii miasta. Stawienie „Nowego don Kichota” Fredry uzależnione jest od realizacji innego, bardziej interesującego zamierzenia Teatru — mianowicie przygotowania na dwudziestolecie Państwa „Krakowiaków i Górali” lub innego widowiska słowno-muzycznego w bliższej wspólnie z Orkiestrą Symfoniczną i zespołem regionalnym „Kurpie Zielone”. W razie powodzenia przedsięwzięcia Teatr wystawi inną, nie muzyczną sztukę Fredry.

Przy pobieżnym już przeglądnięciu repertuaru rzuca się w oczy znaczniejsze niż kiedykolwiek zainteresowanie się teatru sztukami współczesnymi, co stwierdzamy nie bez satysfakcji, jako że apelowaliśmy o to wielokrotnie. Dyrektor Jerzy Zegalski postanowił rok 1963 dla uczczenia 20-lecia Państwa, obchodzić jako „rok polski”, stąd w zestawieniu znaczna w porównaniu z latami ubiegłymi ilość polskich pozycji współczesnych. Wydaje się jednak, że bez względu na jubileusz i na dalszą metę byłoby to poświęcenie dla teatru i widza pożyteczne.

W dwu wypadkach teatr zdecydował się na „kupno kota w worku” wstawiając do planu sztuki jeszcze nie napisane, czy też nie wykończone i nie sprawdzone na scenie. Nie naszą jest sprawą wyrokować o powodzeniu tego ryzyka, w takim układzie zastanawia jedynie fakt absencji w planach teatru nazwisk Różewicza, Mroźka i Broszkiewicza, pisarzy bądź co bądź znaczących co we współczesnej dramaturgii i w Białymstoku niemal, w wypadku Broszkiewicza zupełnie, nie znanych. Obawa przed kląpą? Czy też zbyt trudnym repertuarem?

Pewne zastrzeżenia budzi również wybór sztuki dewizowej. Ograniczenia dewizowe to pięta Achillesowa wszystkich prowincjonalnych teatrów, dlatego też zaprezentowanie tej pozycji powinno być szczególnie przemysłane, by w miarę tych arcykromnych możliwości (jedna sztuka w roku) dać widzowi pozycję równie wartościową, co mało znaną. A wystawienie shawowskiego „Pigmaliiona” spełnia tylko pierwszy z tych warunków.

Bardziej optymistycznie wygląda repertuar sceny kameralnej. Wszyst-

kie zaplanowane pozycje są pozycjami współczesnymi, a szczególne nadzieje wiążemy ze sztukami Sidneya, Katajewa i Doris Lessing (młoda pisarka angielska z pokolenia tzw. „wściekłych”).

Pewien niepokój budzi jedynie przedladowanie repertuaru tej sceny sztukami obyczajowymi przy niedostatku trudniejszych pozycji. Niestety ta sytuacja uwarunkowana jest szczupłością zespołu aktorskiego teatru (30 osób) i utwory grane na małej scenie nie silą rzeczy stanowią zaplecze dla trzeciej sceny teatru — sceny objazdowej. W takiej sytuacji nie sposób myśleć o zmianie tego stanu rzeczy. Nadmienić trzeba, że w tym sezonie Teatr Węgierki (i tu duży pozytywny w pracy teatru, wart szczególnego podkreślenia) zamierza zwiększyć ilość przedstawień w terenie do 100 do 150 rocznie, co jest cyfrą niebagatelną, zważywszy duże odległości, trudności techniczne powiatowych scen, niesprzyjający okres zimowy i cały szereg innych przeciwności losu.

Zwiększy się też ilość miejscowości, które (niejednokrotnie po raz pierwszy w swej historii) będą gościć zawodowy teatr. Do takich należy siedziba PGR-u w Kamiennym Dworze, w której zbudowano ładny Dom Kultury. W ten sposób zwiększają się również szanse białostockiego zespołu w konkursie „Wieś bliżej teatru” (a raczej w tym wypadku „teatr bliżej wsi”). Nam, u progu tego jubileuszowego sezonu pozostaje jedynie życzyć teatrowi powodzenia w realizacji wszystkich zamierzeń, wykonania planów (finansowego też!), a sobie godziwej rozrywki.

## Emeryt p.o. itp.

(Dokończenie ze str. 8)

tecnie i stąd płynie dla mnie jakaś nauka.

Masz ci los. Pętałem się po peryferiach tematu, a tu kawały reporterskiego surowca wala, aż dudni. Przepatruję człowieka „zainteresowanego”, „inicjatywy”, „przejawy”, a ani przypuszczał, na jakiej płaszczyźnie może się kształtować stosunek dom kultury — społeczeństwo. I do jakich metod — zmuszony kierownik. Nie, nie przesadzał. Także — co dziwniejsze — nie liczył na jakiś interwencyjny obrót sprawy. Podał to swoim „intersubiektywnym” stylem i nawet nie można zarzucić, że dokonał tu naprasającego się oszustwa, podstawiając siebie na pierwszy plan uwagi. Więc? Przyjedzie facet z Warszawy na „głuchą prowincję” za 1400 zł — młody, chętny, zdolny — i ma trudności z alfabetem ludzkiego współzycia. Kiż ciemnogród!

Nie rozumiem też z innej strony. Konkurencja owszem, ale w Warszawie, jeszcze gdzieś. Tu za takimi się kładają. Przecież „niewystarczające kadry” to kanon każdej narady i referatu. „Dajcie nam”. A kiedy życzeniu stanie się zadość — kręcenie nosem. Paradoks do sześciu. Rozumiabym paru lowelasów, którzy chcą pochulić. Ale ludność, władze, atmosfera społeczna.

Wytwarza się jakiś nastrój „przykrej prawdy”. Kierownik już opadł w rekryminacjach, emeryt czując się „na odchodnym” nie wyraża swego punktu widzenia, który wymagałby może zbyt obszernej dokumentacji. Zresztą i godzina późna, a wyrwaliśmy go z przygotowań do odjazdu.

Kierownik jeszcze zostaje dla ostatnich zatrząsków, kluczów, klódek. Odprowadza nas do drzwi przekazując powiatowemu wieczorowi. Na skutek opustoszenia powiększyły się przestrzenie uliczne. Szkoda, że nie pora ku temu, bo właśnie teraz bez, zapach i mienie rzadkich światła przez liście dałyby ładny kawałek okolicznościowej kontemplacji. A i wsparcie natury dla skołatanego społecznymi komplikacjami jednostki ludzkiej. Niestety. To bezsilnie, bezwonie i w dodatku bezkieszytce stawia nas na pustej scenie nie wiadomo jakiej sztuki. Ciemność cofnęła nas do sytuacji wzajemnych anonimów. Nie podejmujemy rozmowy w tonacji „w żyjni słuczajetsia”.

Nieopodal samochodu krąży jakiś wyrostek. Kiedy otwieram drzwiczki emerytowi, decyduje się i „na chwilę

przeprasza pana redaktora” (już się dowiedział?). Chyba to nadmiar taktu, ale emeryt dyskretnie oddala się. Przez chwilę nie wiem, czym mogę służyć. Zapalkę. Paczka podniszczonych „Sportów”. Przepraszam tłumacząc, że niedawno palilem i podanie ognia jest całym moim udziałem w tym wstępie. Owszem, zapach wódki, ale w natężeniu nie dyskwalifikującym do przyjęcia rozmowy.

Szczegóły i specyfika sytuacji (emeryt wciąż zaabsorbowany nieartykułowanym kawałkiem przestrzeni) czynią z tego spotkania coś w rodzaju konsylium na temat wstydlivej choroby, czy przesłuchania z intymnymi okolicznościami. Może się do tego przyczynia zapach wódki. Ale jakoś przemawia mi on... na korzyść rozmowcy. Rozumiuję, że ktoś, kto nie obawia się kompromitujących szczegółów, musi być pewien słuszności samej sprawy. Dziwne, ale ta wódka coś mi uparcie wypada w wymiarach dodatnich. Bo jakie są tu możliwe przypuszczenia? Ot, po prostu facet czuł sobie „kaza”. To dobrze, że się zatrzymał na połowie ćwiartki (na tyle oceniam rozmiar całego przedsięwzięcia). Lękają dla kurażu? To znaczy, że wysoko sobie ceni przedmiot podjętej misji. Zanosilo się na grubszą bibkę w szerszym gronie? To opuścił grono dla sprawy, która widocznie głębiej mu leży na sercu. W każdym razie jedno: nie rozgląda się, gdzie jeszcze cała latarnia, ale próbuje osiągnąć coś pożytecznego dla swego środowiska.

— Panie redaktorze, chodzi o to, że my z domu kultury żadnej korzyści nie mamy. Na telewizję chodzimy raczej do remizy. Ale jak się w remizie zerpsuje, to jest tak, jak dzisiaj, że nie bardzo wiadomo, co z wieczorem zrobić. Czy nie moglibyśmy chodzić do domu kultury? Widział pan, przyszedłem, spytałem, czy dzisiaj jest telewizja. Odpowiedział, że jest, ale wejść nie było można, bo drzwi zamknięte. I w ogóle ten kierownik tak działa, jakby dom kultury był dla nikogo. Czasopisma pozamykał, nie ma co czytać. Zebrania na ten temat nie urządzą, nie można się nawet wygadać. Chodzi gdzieś bokiem, załazania się drzwiami, stanowiskiem, okólnikiem. Od dawna chciałem przyjść do redakcji, ale jak pan redaktor przyjechał, to jeszcze lepiej. Może się wreszcie coś zmieni.

I poczułem się jak ktoś, kto zapu-

Zygmunt Mikulski

## PIERWSZA JASKÓŁKA...

...można by nazwać XIX tomik poezycji Wydawnictwa Lubelskiego \*. Starannie wydany, na dobrym papierze, w milej, acz nieco secesyjnej, obwołanej Barbary Wengerek (czyżby w ramach jedności treści i formy?), Almanach zawiera dwadzieścia cztery utwory ośmiu poetów białostockich. Jaskółka to z dawna oczekiwana i taka, która już wiosny wywróżyć nie może, bo jesień w całej pełni. Ambicje na ukazanie własnego mikro-środowiska poetyckiego w Białymstoku były już dawno, zbyt dawno też zebrano materiały do wydanego obecnie tomiku. Dlatego podstawowe zadania swego Almanach ten nie spełnia, mianowicie nie ukazuje aktualnego obrazu środowiska. Dowodem, że z ośmiu nazwisk aktualnie mieszkają i piszą w Białymstoku zaledwie dwie osoby, a i z tych jedna niechętnie już dzisiaj przyznaje się do zamieszkania tu wierszy. Stąd też bardzo nierówny poziom całości. Obok dojrzałych utworów Słacki („Symfonia dojrzewania”), Masłowski („Ullica”), Sokolowskiej, znalazły się w zbioru rzeczy żenująco słabe jak „Morderstwo” Drausala, czy „Oferta” Szumowiczówny.

W każdym razie dobrze się stało, że pierwszy krok został uczyniony. Mimo iż rzecz mocno nieaktualna (doszli nowi poeci, zaczęli pisać młodzi), pierwsze wydawnictwo poetyckie w Białymstoku przełamało dotychczasowy zastój w tej dziedzinie i w niespełna dwa miesiące po nim otrzymaliśmy następne. Od razu trzeba powiedzieć, że znacznie bardziej udane. Indywidualny tomik poezji Zbigniewa Słacki \*\* zawiera dwadzieścia utworów również stanowiących dorobek kilku dobrych lat parania się poezją. W tym wypadku jednak i redakcja i sam autor dokonali staranniejszego wyboru materiałów i poziom tomiku jest dość wyrównany. Choć i tutaj znalazły się utwory wcześniejsze, mniej dojrzałe, czasami popadające w ton z lekką efekciarzki („Dzień półlitrowy”), czasem pod wyraźnym obcym wpływem („...A latem?” — wyraźna reminiscencja z Gałczyńskiego lub, wbrew deklaracji w zakończeniu, ukłon w stronę Broniewskiego w „Lisicie III na rozstanie”), ale rzeczy to wybaczone zważywszy retrospektywny charakter zbioru. Przeważają jednak utwory przemysłane, o wyraźnej logicznej konstrukcji i oryginalnej metaforyce.

Szkoda tylko, że Wydawnictwo nie zadbało w tym zbiorze o dobrą korektę, bo w tomiku aż się roi od błędów.

A. G.

\* Almanach Białostocki, Lubelska Biblioteka Poetycka, t. XIX, Wyd. Lub. 1963, s. 29 + 3 nrb. cena 5 zł.

\*\* Zbigniew Słacka — „Zbłiznieni”, Lubelska Biblioteka Poetycka, t. XXI, Wyd. Lub. 1963 s. 29 + 3 nrb., cena 5 zł.



# PRZEGLĄD PRASY

Każdy numer miesięcznika ruchu ludowego *Więść Współczesna* przynosi fachowe i interesujące artykuły. W sierpniowym numerze Józef Tejcma w artykule „Problem działaczy społecznych na wsi”, opartym na pamiętnikach młodzieży wiejskiej i doświadczeniach ZMW, omawia ewolucję sylwetki działacza na wsi, jego pozycję w wiejskiej społeczności. Inaczej profil działacza kształtował się w latach powojennych, całkiem zaś inaczej teraz:

„W najtrudniejszym okresie umacniania ustroju socjalistycznego postawa i aktywność polityczna i organizacyjna były sprawą najważniejszą, a posiadanie określonego zawodu, wykształcenia itp. miało znaczenie drugorzędne. Wiele najzdolniejszych rezygnowało z nauki, gdyż fascynowała ich i absorbowowała działalność polityczno-organizacyjna. Ludzie o wielkich i różnorodnych zdolnościach wchodzili często na drogę „zawodowej” działalności politycznej”.

Później jednak, w zmienionych warunkach, kiedy na plan pierwszy wysuwały się zadania gospodarcze, problemy stosunków między ludźmi, odrywanie postawy politycznej od umiejętności zawodowych działacza okazało się szkodliwe.

„Jakie więc powinna wyglądać sylwetka dzisiejszego działacza społecznego? Chodzi (...) o zespolenie siły nowoczesnej, jaką jest wiedza, z siłą tradycyjną, jaką jest społecznikowość, i z siłą ideologiczną, jaką jest przyjęcie ideałów socjalizmu za własne”.

Praca społeczna i aktywność polityczna — w oczach młodzieży i w świetle obiektywnych wymagań społecznych — przestaje mieć sens bez spełnienia elementarnego warunku: młody człowiek musi mieć wiedzę, zawód, pracę”.

Tezy autora ilustruje i dopełnia bardzo ciekawy pamiętnik 18-letniego ucznia ze wsi rzeszowskiej. Z wielką młodzieńczą pasją, z dużym krytycyzmem omawia sytuację swojej wsi. Ale, jak przystało na ucznia szkoły średniej, ma on szerokie spojrzenie, nie takie zaściankowe. Trzeźwo ocenia motywy ucieczki ze wsi:

„Przed wszystkim młodzież nie chce tak biedować i męczyć się na małym kawałku ziemi, jak biedują i męczą się rodzice. Oni musieli cierpieć, nie mieli innego wyjścia. Cóż by to było za nierozumni ci młodzi ludzie, żeby nie korzystali z czasu i nie dążyli do zrównania się z ludźmi lepiej sytuowanymi, którzy mieli to szczęście, że się na wsi nie urodzili. Przecież nasza polityka właśnie dąży do tego, żeby się zacieraly różnice między wsią a miastem”.

Do biednej i przeludnionej wsi nie ma więc po co wracać, trzeba iść do przemysłu. Ci jednak, co na wsi zostają, muszą o nią zadbać sami:

„Młodzież musi gruntownie przebudować wieś, wykorzystać wszystkie złe nawyki, wady, zabobony. Wieś winna się coraz bardziej upodabniać do miasta i wyglądem zewnętrznym, i warunkami życia. Jeżeli sobie tego młodzież nie zrobi, to jej chyba nikt nie zrobi. Starsi przyzwyczajeni do tradycyjnych warunków życia nie wszyscy będą chyba pomagać zmieniać wieś”.

„Kamena” zawsze dużo uwagi poświęcała poezji, konkursom recytatorskim, teatrom poezji. Są one przejawem istnienia masowego ruchu społecznego, służącego upowszechnianiu wartości poetyckich. W sierpniowym *Dialogu* sprawę tę podejmuje Julian Przyboś w szkicu „Słowo uwidoczniło (O teatrze poezji)”. Oto wizja takiego teatru:

„Teatr poezji to przecież jak poezja — radość wyobraźni wcielona w mowę. W mowie — uwidoczniła, w mowie radośna, bo pełna zdumiewających niespodzianek, jakie niosą obrazy poetyckie. Te obrazy, jeśli są nowe i jeśli są istotnie wynalazkiem językowym, ożywiają całą duszę słuchacza (a w teatrze słuchacza-widza) tym wysokim rodzajem humoru, co graniczy i ze wzniosłością, i ze śmiesznością. Ujmuję go w określenie — nadzwyczajność i sztuczność, komizm — ałostość i płaskość. (...) Ożywia i odnawia — powiedziałem starszowiecko — duszę, bo nie tylko wprawia w ruch wyobraźnię, aby poprzez nią poruszyć serce, ale wysubtelnia nasz zmysł moralny”.

A więc teatr poezji jako obrzęd Wysokiej Radości, Święto Intelaktu. I jeszcze postulat autora:

„Pora więc, aby ten masowy ruch teatralny uszkodził w teorii, ofiarował mu propozycję nowej teatralności wywiedzionej ze słowa, które jeśli jest poetyckie, staje się obrazem poetyckim”.

Głównym tematem prasy literackiej jest od dłuższego czasu sprawa krytyki literackiej: czy jest krytyka literacka, czy jej nie ma? Jaka ona jest, a jaka być powinna. To zainteresowanie teatralnym obliczem krytyki literackiej jest zrozumiałe w świetle jej zasadniczej i surowej krytyki na XIII Plenum KC PZPR.

Dyskusję otworzyła Alicja Lisiecka artykułem „Krytyka — zamulająca?” ogłoszonym w *Życiu Literackim*. Pamfletowe, ostre, ale chaotyczne i nieprzemyślane wystąpienie Lisieckiej spowodowało ostre repliki. Zasadniczą polemikę z Lisiecką podjął Współczesność:

„Powiadzmy od razu, że dyskusja nad tym artykułem jest niemożliwa.

Nie sposób dyskutować nad tekstem poruszającym nader powierzchniowo kilkadziesiąt spraw z całkowicie różnych profili; nad tekstem nie rozwijającym rzeczowo ani jednego ze stawianych zagadnień; nad tekstem myślowo niespokojnym, głoszącym tezy wzajemnie się wykluczające, co wykaże można bez trudu, ale nie to wystarczy tu wykażać pragniemy, bo i nie z powyższych powodów od dyskusji nad tym artykułem się uchyłamy.

Powód jest inny: dyskusja może się zacząć tam, gdzie zachowana jest elementarna uczciwość w argumentacji. Otóż w argumentacji Alicji Lisieckiej ta elementarna uczciwość zachowana nie została”.

Podobne zarzuty stawia Lisieckiej Andrzej Lam w artykule „Krytyka czy krytyczka” (*Życie Literackie*):

„Polemika z Lisiecką jest bardzo utrudniona wskutek braku precyzji w jej przewodach myślowych, co wiąże się ze skłonnością do pochopnych uogólnień”.

Nawiązując do wolań autorki o krytykę zaangażowaną i ideową, Lam pisze:

„Zanim zacznie się mówić o ideowości, trzeba najpierw zaakceptować jakieś podstawowe zasady, od których nawet najbardziej zwolennicy polemiki nie powinni być się zwolnionymi (...). Artykuł jej w całości zaliczył bowiem wypada do owego tak namiętnie skrytykowanego nurtu intryg i nieodpowiedzialności krytycznej”.

W dyskusji o krytyce zabierał także głos W. Machejek w *Życiu Literackim* („Krytyka literacka i ideologia”), to samo pismo zapowiada publikację dalszych dyskusyjnych wystąpień.

W Polityce podejmował temat krytyki Tadeusz Drewnowski, a po nim Andrzej Mencwel („Być albo nie być”).

W obszernym wystąpieniu stawia on krytyce dwa generalne zarzuty: bezideowość i antyintelektualizm, szerzej uzasadniając tylko ten drugi. Wylicza listę tematów, których krytyka literacka nie podjęła:

„Od paru lat nie ukazała się żadna książka krytyczna, która zostałaby napisana jak książka, od lat nie ukazała się żadna (z wyjątkiem książek Żółkiewskiego, Wyki i Sandaera), w której krytyk miałby naszej literaturze coś do zaproponowania. Jakis określony wybór tradycji myślowej, jakis wzorec literacki, własna wizja socjalistycznej kultury w Polsce. Krytyka, w której nikt niczego nie ma do zaproponowania, w której nikt, z nielicznymi wyjątkami, nie troszczy się o to, jak będzie wyglądała socjalistyczna literatura i socjalistyczna kultura w Polsce: krytyka, w której od lat piętnastu nie odbył się żaden spór o

przynależności i tradycje, o system wartości i hierarchie potrzeb, krytyka taka jest niczym”.

Obok słusznych i rozsądnych stwierdzeń jest jednak w artykule Mencwela sporo miejsc, które budzą zdecydowany sprzeciw. Jak Lisiecka chce on w jednym artykule zatrzeć sto spraw, żadnej nie rozwijając i uzasadniając; rozkłada cioty na lewo i na prawo, wystawia cenzurki; wylicza i mnoży zarzuty — o co najłatwiej; zamiast rzeczowej polemiki wprowadza niewybredny język, napastliwy ton. Argumentację zastępuje pewnością siebie. Takie wystąpienia nie prowadzą dyskusji o krytyce naprzód — raczej przeciwnie:

Wolno sądzić, że do tej pory prowadzone są jedynie wstępne potyczki. Główna bitwa o krytykę jest dopiero przed nami.

Wychodzący w Bydgoszczy, ale mający ogólnopolski zasięg, dwutygodnik *Fakty i Myśli* obchodził niedawno pięćdziesiątą rocznicę istnienia. *Fakty i Myśli* żywo uczestniczą w polemikach i dialogu światopoglądowym i potrafiły skupić na swych łamach wiele piór pierwszorzędnej jakości. Uważny czytelnik pamięta także, że przy piśmie od paru lat ukazuje się dodatek literacki *Wiatrak*, żywo prowadzony, o znaczeniu więcej niż lokalnym.

Jubileuszowy numer zawierał sporo zasadniczych, ciekawych artykułów, jak np.: Tadeusza M. Jaroszewskiego „Jean Paul Sartre — kryzys kultury młodego człowieka”, Tadeusza Pasierbińskiego „Ideologia a proces lalenicy”, Wiesława Mysła „Światopoglądowa walka czy koegzystencja” i Stanisława Markiewicza „Kilka uwag o pojęciu katolicyzmu”. Podsumowanie pięcioletniej drogi pisma dał Jan Górec-Rosiński w artykule „5 lat czyli nasze „utopie”.

Całości numeru dopełnia interesujący zestaw *Wiatraków*.

T. K.

W *Życiu Literackim* zwraca uwagę cykl publikacji pt. „Moje dwudziestolecie”. Są to autobiograficzne glosy, czy wyznania pisarzy odnoszące się do okresu powojennego. Ten wielogłos twórców współczesnej literatury ukazujący obraz różnorodnych postaw i stanowisk daje ciekawy przyczynek do poznania źródeł twórczości w dwudziestolecie powojennym. Pisarz o sobie. Jest to zawsze interesujące uzupełnienie tego, co o pisarzu dowiemy krytyką.

W wypowiedziach dotychczasowych (cykl rozpoczął się w numerze lipcowym i obejmuje dotychczas dwanaście nazwisk), można wyodrębnić dwa nurty. Jednym jest wspomnienie dotyczące życiowych perypetii, drugim — dążność do odkrycia istotnych właściwości dokonanych procesów. Nie należy dodawać, że ten drugi łączy się z potrzebą ukazania artystycznego światopoglądu piszącego, co w wyznaniach otrzymuje ciekawą postać esejistyczną. W każdym razie udośćpniono pisarzom możliwość wypowiedzi „wprost”, a to

czytelnikowi daje ważną sposobność konfrontacji.

Tadeusz Hołuj i Stanisław Wygodzki mówili o swej drodze do pisarstwa zaangażowanego. Przyboś i Jastrun o zaangażowaniu twórczości poetyckiej, Szewczyk i Otwinowski zarysowali swoją działalność na tle środowiskowym. W numerze 38 „Życia” zabral głos Stanisław Zieliński, który w „Konsekwencjach wyboru” przedstawił swoje powojenne losy i powody podjęcia pracy pisarskiej.

Sądzić należy, że dalsze — nie mniej interesujące — publikacje cyklu dopełnią, problematyki dwudziestolecia w twórczości pisarzy, a także dopomną się z czasem o oddzielne wydanie książkowe.

Z. M.

## „CZAR KAZIMIERZA”

(Dokończenie ze str. 9)

sażerów i kierowców. Tymczasem do Łodzi, Warszawy, czy Zamościa mkną autobusy pospieszne z nudzącą się 2-osobową załogą. Może w grę wchodzić względy reprezentacyjne?

W Kazimierzu w ciągu kilku lat zrobiono bardzo wiele. Uporządkowano miasteczko, wybudowano parking samochodowy, oświetlono ulice. Dokonano rzeczy wielkich, na średnie i małe nie było już czasu, a potem pozwolono sobie na chwilę wytchnienia. I właśnie dlatego muzeum jest ciągle w remoncie, na plaży miasteczka, które słynie z przemysłu włókienniczego, stoi aż dwadzieścia kilka koszy plażowych, na tej samej plaży od kilku lat nie można doczekać się kiosków z żywnością i napojami chłodzącymi, sklepy spożywcze coraz gorzej zaopatrzone, jedyny kiosk z nabiałem zlikwidowano w bieżącym sezonie.

Tylko kino jest w Kazimierzu jak zawsze niezawodne. Miłe, przytulne, z dobrymi filmami, jak każde kino pozwala oderwać się na chwilę od rzeczywistości. Może dlatego kierownik nie narzeka nigdy na brak widzów.

Takie uroki przedstawiał sobą Kazimierz w minionym sezonie. Jak wino za 17 złotych butelka. Etykieta efektowna, ale zawartość niezbyt szlachetna.

Mirosław Derecki

P. S. Po napisaniu niniejszego artykułu przypomniałem sobie, że w Kazimierzu istnieje jeszcze jeden punkt zbiorowego żywienia. Jest to tak zwana smażalnia ryb. Można w niej dostać i zjeść na miejscu smażonego dorsza. Znajduje się zaraz za rynkiem, po tej stronie co Oddział PTTK.

## KRONIKA KULTURALNA

(Dokończenie ze str. 2)

teatru, plastyków, ludzi pióra, muzyków, działaczy kulturalnych. Ważna sprawa: ustalenie możliwości, przygotowanie środków do godnego uczczenia Dwudziestolecia i Roku Zeromskiego. A przede wszystkim opracowanie planu do generalnej ofensywy kulturalnej na miasteczka i wieś.

NA UL. BUCZKA W KIELCACH wybudowano dwie pracownie dla plastyków. Na początek oczywiście. D.c.n. Na skutek rozbieżności zdań wśród członków PMRN pracownie stoją puste. Cierpliw i zdyscyplinowany ludźki ci plastycy kielccy. Tacy na przykład literaci warszawscy dawno potrafiliby załazić wysoka, przestronna sala. A może jednak, Pyska Rado, przekazać je, jak chce kielcecki oddział ZPAP, A. i K. Grodzkim i Z. Kłostowskiemu?

W KIELECKIM DOMU NAUCZYCIELA oddano do użytku pierwszą w mieście bibliotekę, w której każdy czytelnik ma swobodny dostęp do półek. W pierwszych dniach tury i ani jednego manka. Lepiej, znacznie lepiej niż w sklepach samoobsługowych. Prawda, że i towar inny...

### R Z E S Z Ó W

„FIZYKAMI” DÜRRENMATTA otworzył nowy sezon Teatr im. Wandy Siemaszkowej. W przedstawieniu, przygotowanym reżysero przez dyr. Stefana Wintera, w oprawie scenograficznej Ireny Perkowski, wykonawcami głównych ról są: Ce-

lina Klimeczak (Doktor Matylda von Zahnd), Stefan Winter (Möbius), Zbigniew Zaremba i Władysław Trojanski („Newton”) oraz Zdzisław Nowicki („Einstein”). Równocześnie drugi zespół sceny rzeszowskiej występuje ze sztuką Piotra Chojnowskiego „Ruchome piaski” (reżyseria Elwiry Turskiej, scenografia Ireny Perkowski). W dalszej kolejności Teatr im. W. Siemaszkowej wystawi „Jęgora Bulczyowa” Gorkiego i „Zawisze Czarnego” Słowackiego.

O AKCJI „WIEŚ BLIŻEJ TEATRU” ogłoszonej przez Ministerstwo Kultury i Sztuki oraz „Tygodnik Kulturalny” i „Zarzewie”. pisać na łamach „Widnokręgu” — dodatku tygodniowego „Nowin Rzeszowskich” — Czesław Klak. Uznając licząc grup z województwa rzeszowskiego uczestniczących w konkursie — 44 za niewystarczającą, autor postuluje, by działacze kulturalni okazali tej sprawie więcej uwagi. Jak wynika z danych przytoczonych w artykule, obok Państwowego Teatru im. Wandy Siemaszkowej do konkursu zgłosiło się 12 amatorskich zespołów teatralnych, 12 bibliotek, 6 gminnych spółdzielni „Samopomoc Chłopska”, 2 powiatowe związki gminnych spółdzielni, 4 domy kultury, 3 kola gospodyń wiejskich, 2 ochotnicze straże pożarne, 1 szkoła podstawowa i 1 kolo ZMW. Najlepiej organizują te akcje biblioteki w pow. debickim i przeworskim. Zaniemal natomiast konkurs Zarząd Województwa Związku Młodzieży Wiejskiej, pod którego opieką działa przecież kilkanaście klubokawalerii wiejskich.

TRZY WYSTAWY — to plan wrześniowy pełnego inicjatywy Biura Wystaw Artystycznych w Rzeszowie (w bieżącym roku aż 75 ekspozycji). W foyer Teatru im.

Siemaszkowej otwarto wystawę malarstwa Mariana Ziemskiego, w lokalu własnym Biura Wystaw po rysunkach portretowych Cezarego Kotowicza zaprezentowali się w zbiorowej wystawie z okazji „Dni Rzeszowa” plastycy rzeszowscy. Biura w Rzeszowie radzieckie plastycy, architektki i historycy sztuki ze Lwowa odbyli z rzeszowskimi kolegami spotkanie dyskusyjne na temat ich twórczości.

DUŻE ZAINTERESOWANIE wzbudził inauguracyjny koncert symfoniczny Państwowej Orkiestry Symfonicznej w Rzeszowie (10 września br.) z udziałem wybitnej pianistki radzieckiej Belli Dawidowicz. W programie obok Koncertu Fortepianowego A-dur Mozarta znalazły się Symfonia nr III F-dur Brahmsa i Uwertura Szwalskiego. Dyrygował Janusz Ambros. Nie doszedł natomiast do skutku występ orkiestry i Bernarda Ładysza podczas „Dni Rzeszowa”, co sprawiło wielki żal rzeszowskim melomanom.

STAŁOWA WOLA przoduje w województwie rzeszowskim, jeśli idzie o czytelnictwo prasy. W roku 1963 na każdego mieszkańca przypada tam ponad 190 egzemplarzy czasopism i gazet, gdy w Rzeszowie 46-47 egzemplarzy, w Przemyslu około 49 egzemplarzy (cyfry te nie uwzględniają prenumeraty pocztowej). Warto podkreślić, że mieszkańcy Stalowej Woli szybko wykupują w księgarni wszelkie nowości wydawnicze z różnych dziedzin.